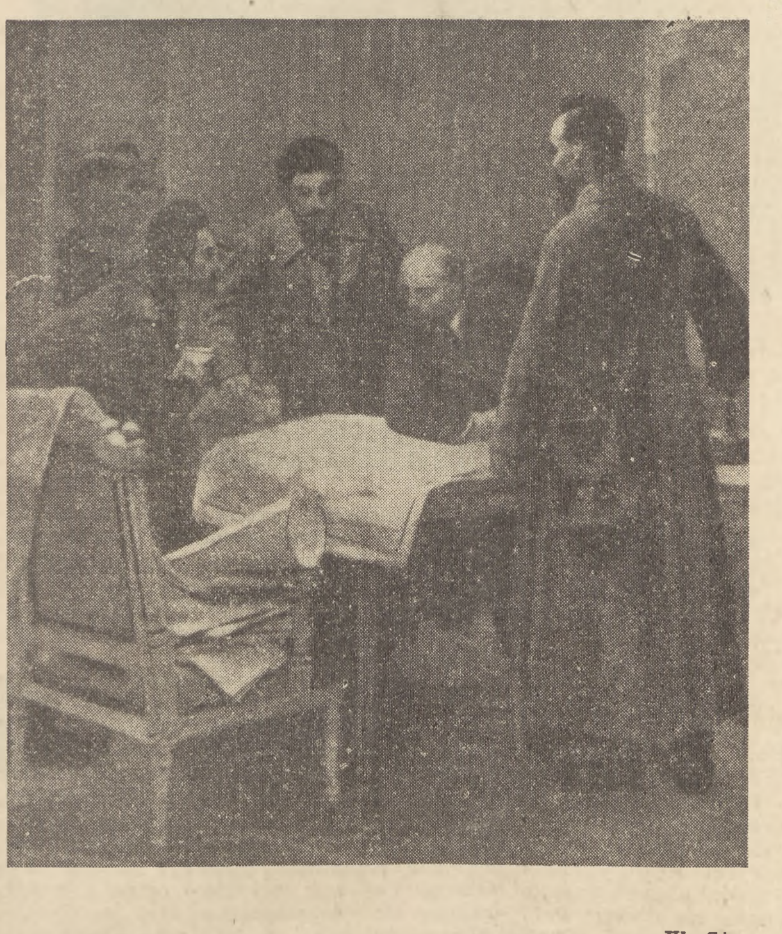
Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł – 8 stron · Warszawa, 9 listopada 1952 r. · Nr 45 (137) Rok III



24 października 1917 roku — W. Sierow

LUCJAN RUDNICKI

Cześć Moskwie!

Ile razy, przemęczony pracą, nastawiam odbiornik radiowy na Moskwę, żeby się pokrzepić prawdziwie ludzką interpretacją wydarzeń doby obecnej i najpiękniejszą w świecie muzyką, zawsze usiłuje mi w tym przeszkodzić zbój amerykański, który wrzaskiem na cały świat chce zagłuszyć hasła, uznane przez ogromną większość ludzi, hasła takie, jak to: „Chwała narodom i ludom wszelkich kolorów skóry i wyznań, walczących o pokój i hańba łotrom z Białego Domu, którzy dla zysku i zabawy chcieliby cały świat podpalić".

Podpalacze świata, gangsterzy wszelkiej maści, inspiratorzy i kierownicy skrytobójców, ci, co szantażem zmuszają słabsze burżuazyjne państwa do poddania się ich dolarowo-bandyckiej przemocy, szczególnie „interesują się" naszą niepodległością.

Po wspaniałych przejawach zwartości i siły Frontu Narodowego w wyborach do Sejmu, kundle „Głosu Ameryki" języki obgryzają sobie ze złości. Dziewięćdziesiąt siedem procent ludu polskiego — rozpaczają — naśladuje Moskwę.

A my, cały naród, 99,99 proc. ludności Polski naprawdę naśladujemy narody Związku Radzieckiego, którym przewodniczy Moskwa, uczymy się je naśladować: jak pracować i walczyć zwycięsko o zabezpieczenie własnej wolności i międzynarodową wszechstronną spójnię równoprawnych narodów.

Naśladujemy Moskwę i jesteśmy z tego dumni! Naśladując ją, naśladujemy Hugona Kołłątaja, Tadeusza Kościuszkę, Adama Mickiewicza i legion innych, którzy, kochając Polskę i cierpiąc nad jej upadkiem, naśladowali przed stu laty Paryż i Wielką Rewolucję Francuską, niosącą w pierwszej swej fazie pokój ludom i wojnę ich ciemiężycielom.

Naśladując Moskwę, naśladujemy Jarosława Dąbrowskiego, Waryńskiego, Marchlewskiego, Dzierżyńskiego i innych Polaków, którzy zrozumieli, że żadnej części świata nie można odgrodzić od pozostałych jakimś murem, że każda wielka rewolucja w jakimkolwiek kraju, promieniuje postępem na cały świat i niesie wolność całemu światu.

Kościuszko, jeden z najlepszych synów narodu polskiego, pomagał rewolucyjnemu ludowi francuskiemu, bijąc feudałów carskich i polskich, którzy wskutek tego nie mogli pomóc zbrojnie kontrrewolucji we Francji.

Tadeusz Kościuszko „naśladował" Paryż.

Inny z rewolucyjnego legionu Polaków, Jarosław Dąbrowski, stanął w roku 1871 na czele rewolucyjnych wojsk Komuny Paryskiej i walcząc o wolność ludu francuskiego, walczył najskuteczniej o niepodległość Polski i jej ludu.

Jarosław Dąbrowski „naśladował" Paryż.

Oto dwaj wielcy polscy „naśladowcy". Służyli wszechludzkiemu postępowi i Polsce i sami stali się przykładem do naśladowania.

„Cześć im po wszystkie czasy" — wznosi okrzyki lud polski.

Nadszedł błogosławiony przez wszystkie ludy rok 1917 i Wielka Rewolucja Październikowa. Narody Rosji utworzyły szturmową brygadę światowego ruchu rewolucyjnego, dążącego do pokoju i zbratania wszystkich narodów. Powstał Związek Radziecki, a przeciw niemu — zjednoczenie imperialistów całego świata.

Po której stronie miał stanąć lud polski i jego rewolucyjni przedstawiciele?

Po stronie burżuazji, która blisko dwieście lat wyzyskiwała zacofanie i niewolę Polski, czy po stronie rewolucji, niosącej Polsce wolność narodową i społeczną?

Czyśmy mieli „naśladować" Wall Street z przybudówkami monopolistycznymi Londynu i Paryża, polipa kapitalistycznego, wysysającego wszystkie soki z ludu polskiego, czy Moskwę promieniującą postępem i wszechludzką wolnością?

Kto wybierze zgniłą, zatęchłą mordownię, gdy ma przed sobą życiodajny blask światła?

Ogromna większość narodu polskiego wybrała Moskwę.

Dwaj najlepsi przedstawiciele ludu polskiego, Feliks Dzierżyński i Julian Marchlewski, stojąc na czele milionów Polaków, zamieszkałych w „starej" Rosji, bili burżuazję bezpośrednio w Petersburgu, Moskwie, Kijowie... Reszta ludu polskiego, odgrodzona od braci w Związku Radzieckim zasiekami kolczastego drutu, wzorowała się na rewolucyjnej Moskwie konspiracyjnie. Z początku niesprawnie, nieumiejętnie, ale stopniowo coraz lepiej, aż w lipcu 1944 roku powstała polska brygada rewolucyjnego postępu.

Naśladujemy Moskwę, czerpiemy z niej braterską pomoc i przykład, uczymy się jej codziennego bohaterstwa. Pracujemy we wszystkich dziedzinach coraz lepiej i wydajniej i dokładamy wszystkich sił, byśmy, za przykładem Moskwy, sami się stali godnymi naśladownictwa.

Niech żyje wieczne przymierze Warszawy z Moskwą!

Lucjan Rudnicki

W numerze

HELENA BOBIŃSKA

„JEST TAKA PARTIA"

(Na I-ym Zjeździe Rad Del. Rob. przywódca mieńszewików Cereteli twierdził, że „nie ma partii, która by odważyła się wziąć w tej chwili władzę". Na to Lenin z miejsca krzyknął: „Jest taka partia! — partia bolszewików!")

Znalazłam się w Piotrogrodzie w połowie lutego 1918 roku, a więc w trzy miesiące po wzięciu władzy przez partię bolszewików i w parę dni po zerwaniu rokowań brzeskich.

Piotrogród tonął w zaspach śnieżnych, a nocami pogrążał się w mrokach, rozświetlanych z rzadka latarnią. Grupy zbrojnych czerwonogwardzistów, grzejących się przy rozpalonych na ulicy ogniskach, nadawały miastu wygląd oblężonej twierdzy.

„Pierwszy Dom Rad Delegatów" mieścił się w luksusowym hotelu „Astoria", zbudowanym przed samą wojną przez szwajcarskie towarzystwo akcyjne. Wielkie zwierciadła wysłanych kobiercami westybulów podawały sobie wzajemnie brodate postacie w polowych szynelach, papachach, kurtkach skórzanych i baranich kożuszkach, ściągniętych rzemieniami; tu i owdzie wśród tych „frontowników" przesuwały się angielskie palta, futrzane czapki, bródki strzyżone w klin, oczy uzbrojone w szkła binokli. Nie tak dawno zostało rozwiązane przez bolszewików „Zgromadzenie Ustawodawcze" i w „Astorii" przebywało sporo delegacji wszelkich partii.

Olbrzymi hotel szumiał jak ul przed wyrojem. A ledwie przycichł trochę, wśród głębokiej nocy rozległo się mocne kołatanie w oszklone drzwi hotelowych pokoi.

„Towarzysze! Narwa wzięta! Nadzwyczajne posiedzenie Komitetu Centralnego!"

Zatupotały znów spieszne kroki na schodach, podniósł się gwar wzburzonych głosów; zahuczały klaksony samochodów.

A nad pogrążonym w ciemnościach miastem rozniosły się długie, jękliwe, trwożne nawoływania syren fabrycznych. Odezwały się z odległych przedmieść Zakłady Putiłowskie i Obuchowskie, te twierdze Rewolucji — odpowiadały im inne ze wszystkich krańców olbrzymiego miasta.

Przez całą noc w fabrykach rozdawano broń, tworzono naprędce oddziały bojowe. Wprost z fabryk wyruszały one na front.

Od wczesnego rana na murach domów pojawiły się wielkie plakaty: „Socjalistyczna ojczyzna w niebezpieczeństwie!"

Dekret Rady Komisarzy Ludowych wzywał wszystkie Rady i organizacje rewolucyjne do obrony „socjalistycznej ojczyzny". Dekret dawał szczegółowe instrukcje wszystkim organizacjom i kończył się słowami:

„Niech żyje nasza socjalistyczna ojczyzna! Niech żyje Międzynarodowa socjalistyczna rewolucja!"

Przed tymi plakatami szarzały grupki żołnierzy w zniszczonych szynelach, w wystrzępionych papachach — z nędznymi płóciennymi węzełkami, przewieszonymi przez ramię. Rozkaz demobilizacji rzucony przez Trockiego, po zdradzieckim zerwaniu przez tegoż Trockiego rokowań brzeskich, zmienił carską armię w bezładną gromadę chłopów, wszystkimi drogami ciągnących do porzuconych domów i rodzin.

Przed kilku zaledwie dniami widziałam ogromne obozowiska tych żołnierzy na stacji w Dźwińsku. Front pod Dźwińskiem opustoszał w ciągu jednego dnia. Żołnierze brali szturmem pociągi, oblepiali dachy, czepiali się buforów, wisieli u wszystkich klamek, opętani jednym pragnieniem: „Do domu"! Widziałam jak oddawano karabiny i konie za bochenek chleba, albo je porzucano wprost na stacji. Fala tych frontowych żołnierzy zalewała teraz Piotrogród. Coraz większe ich gromadki zbierały się przed plakatami wzywającymi do obrony „socjalistycznej ojczyzny".

Na zmizerowanych, zarośniętych twarzach, w surowo ściągniętych brwiach malowała się naprężona myśl i wewnętrzna rozterka.

Jakże to? Zaledwie trzy miesiące temu „Władza Rad" obiecała im koniec wojny, dała chłopom ziemię. A oto masz: „Wszyscy do obrony socjalistycznej ojczyzny". Znaczy: znowu na front? Znowu w okopy?

Ciężko pracowały nienawykłe do myślenia mózgi. Chłopska nieufność nurtowała serca. Toć nie tak dawno Kiereński gardłował: „wojna do zwycięskiego końca?!"

— A ty zobacz, co tam podpisano?

Z trudem któryś przesylabizował: „Rada Komisarzy Ludowych".

— A Lenin? Zobacz, czy podpisano „Lenin"?

— Durny ty, Fimka — obruszył się młody, gołowąsy żołnierz — „Rada Komisarzy Ludowych" — toć właśnie Lenin.

— Lenin? — nie dowierzał tamten.

— Więc jakże to „bratcy"—spojrzał dokoła — znaczy się, znowu na front?

Środkiem ulicy przekopywał się przez zaspy oddziałek uzbrojonych w karabiny robotników: mężczyźni w kurtkach, w starych szynelach i kombinezonach, kobiety w chustkach na głowach, w kaftanach i półkożuszkach, przepasane taśmami nabojów na piersiach. Wiatr szarpał ich lichymi spódnicami. Nad tym oddziałem tryumfalnie powiewał czerwony sztandar.

Żołnierze odwrócili się od plakatu. Przyglądali się w milczeniu. Któryś z robotników zawołał:

— Czego się namyślacie, towarzysze! Do nas. Do szeregu! Bronić socjalistycznej ojczyzny!

Żołnierze milczeli ponuro. Ktoś rzucił złym głosem:

— Myśmy już powojowali! Teraz wy powojujcie!

Tylko ten gołowąsy, a za nim jeszcze kilku, popędzili przez zaspy śniegowe doganiać oddział.

Ostatni robotnik w szeregu zatrzymał się; ręką wskazał im najbliższą przecznicę. Pobiegli wszyscy w tę stronę.

*

W nocy przyszła wiadomość o wzięciu Pskowa. Znowu rozjęczały się nad miastem syreny fabryczne.

W tych dniach i nocach pełnych grozy, kiedy ważył się los Rewolucji, proletariat rosyjski zrozumiał, że tej w ł a s n e j, „socjalistycznej ojczyzny" musi bronić do ostatniej kropli krwi. 23-go lutego ochotnicze oddziały piotrogrodzkie rozbiły Niemców i odebrały Psków.

23-go lutego 1918-go roku powstała Czerwona Armia.

*

Z tych surowych piotrogrodzkich dni przypominam sobie jeden epizod. Było to już w czasie zawieszenia broni i nowych pertraktacji pokojowych. Wiedziałam, że Ermitaż jest zamknięty. Ale zachciało mi się zobaczyć go choć z zewnątrz.

Przed ozdobną bramą Zimowego Pałacu przytupywał raźno młody czerwono-gwardzista w długim polowym szynelu i futrzanej czapie.

— Powiedzcie, towarzyszu — zagadnęłam go po rosyjsku — Ermitaż zamknięty?

Bystrym spojrzeniem obrzucił moją niewielką osobę w cienkim, warszawskim paletku i w filcowym kapelusiku.

— Wy, wierno, inostranka? Ermitaża nie widali — spytał z odcieniem pobłażliwej wyższości — żal, żal, eto wied! krasota! Mało gdzie są takie skarby — dodał z przekonaniem.

Spytałam go, czy widział Ermitaż we środku.

— Kak-że? kak-że? — uśmiechnął się młodymi oczyma spod oszronionych brwi. Ręką wskazał Pałac Zimowy.

— „Myśmy go przecież szturmem brali"!

I zaraz potem do mnie:

— Niczewo! K letu otkrojem! Tolko poriadok nawiediom. Tagda prychoditie. Stoit posmatriet!

Odchodząc obejrzałam się jeszcze. Wartownik zabijał ręce i przytupywał dla rozgrzewki. Pomyślałam wtedy, że ten posiadacz „skarbów, jakich mało na świecie" otrzymał dziś na pewno „osmuszkę" czarnego, ościstego chleba. Taką samą osmuszkę wydawano delegatom w błyszczącej od zwierciadeł „Astorii".

*

W Piotrogrodzie odbywał się w tym czasie Zjazd Północnych Rad Delegatów („Siewiernaja Komuna"). Na tym Zjeździe niejednokrotnie udało mi się słyszeć Lenina. Na zawsze pozostał mi w pamięci jego, schrypnięty nieco, gorący, pełen wewnętrznej siły głos, kiedy mówił:

— Nad moim stołem wisi mapa Rosji. — Czerwonymi chorągiewkami oznaczam na niej co dzień miasta, gdzie powstają Rady Delegatów. Towarzysze! Dziś we wszystkich miastach mamy już Rady Delegatów Robotniczych! Dziś cała mapa Rosji jest czerwona!

Huragan, grzmot oklasków zagłuszył na długą chwilę głos Lenina. Zdawało się, że runie strop teatru. Parter, loże, galeria, wszystko zrywa się z miejsc. Setki rąk klaszczących, setki twarzy rozpłomienionych, setki ust, wykrzykujących to jedno imię: „L e n i n!"

„Niech żyje Lenin! Niech żyje Międzynarodowa Rewolucja!"

Najwięksi pisarze świata usiłowali wyrazić głęboką miłość mas robotniczych do Lenina. Gorki w jednym miejscu przytacza zdanie robotników: „Lenin — to sama prawda". I może właśnie w tym zdaniu zawiera się istota stosunku mas do Lenina.

Robotnicy i żołnierze (ci „chłopi w szynelach") po raz pierwszy posłyszeli słowa prawdy. Byli zgłodniali tej prawdy jak chleba. Srogie doświadczenie wielu pokoleń nauczyło ich, że słowom nie należy wierzyć, że za słowami zawsze kryje się zdrada, kryje się interes możnych tego świata.

Jedna tylko była partia, która nigdy ich nie zawiodła — partia bolszewików. A na czele tej partii stał Lenin.

Lenin mówił im prawdę. O życiu, o wojnie. O tym dlaczego są wojny i komu one są potrzebne. Żołnierz, który przybywał prosto z okopów, dopiero teraz po czterech latach, słuchając Lenina, zrozumiał, jaka siła go do tych okopów zapędziła. Dowiadywał się, co to jest imperializm. I co to jest solidarność międzynarodowa robotników. Ten sam żołnierz, któremu w ciągu czterech lat oficer i sierżant wbijali w głowę — że „germaniec" — to jego największy wróg, zaczynał rozumieć, że nie żołnierz niemiecki jest jego wrogiem — że tego niemieckiego żołnierza tak samo pędzono na front — jak jego samego pędził rząd cara. To była prawda. To mógł sam poświadczyć. Zaledwie kilka tygodni temu bratał się na froncie z żołnierzem niemieckim — dzielił się z nim machorką. Niemiecki żołnierz przeklinał wojnę. Z rosyjskiego języka nauczył się dwóch słów: „Sowiet" i „Lenin". Te dwa słowa były zrozumiałe we wszystkich językach świata. Przerzucane do okopów nieprzyjaciela były groźniejsze od bomb. Niosły rewolucję.

„Rewolucja Międzynarodowa". — „Solidarność proletariatu wszystkich krajów" — pojęcia trudne, nieznane jeszcze kilka miesięcy temu — stały się naraz zrozumiałe, bliskie i drogie szerokim masom robotniczym Rosji. Mocna, nierozerwalna więź zadzierzgnęła się w tych pierwszych miesiącach Rewolucji pomiędzy proletariatem młodej Republiki Socjalistycznej i robotnikami krajów kapitalistycznych.

„Międzynarodowa solidarność robotników"—to nie były słowa. To była siła. Dopiero odkryta, dopiero poznana, ale już groźna. Ta siła burzyła plany interwentów. Ta siła kazała zbuntowanym marynarzom francuskich okrętów zawrócić z Odessy z okrzykiem: „Niech żyje Rewolucja!", a dokierom angielskim odmówić ładowania broni, przeznaczonej przeciwko Republice Rad.

Żołnierz młodej Socjalistycznej Republiki Rad miał mocne przeświadczenie, że broniąc każdego odcinka ziemi ojczystej, broni Rewolucji Międzynarodowej, że walczy o wyzwolenie proletariatu całego świata.

Zrodził się swoisty, n o w y p a t r i o t y z m robotników rosyjskich, nierozerwalnie związany z internacjonalizmem

Był to początek nowej epoki — epoki socjalizmu.

Początek nowego stosunku między narodami.

„Nasza Socjalistyczna Republika Rad — mówił Lenin — będzie trwać jako pochodnia socjalizmu międzynarodowego i jako przykład dla innych narodów".

Milionowe rzesze młodzieży Związku Rad Partia Lenina i Stalina wychowała w tym najgłębiej pojętym internacjonalizmie.

1945 roku żołnierze radzieccy, wyzwalając narody z krwawych pęt faszyzmu, spłacali dług, zaciągnięty w 1918 roku, kiedy hasło: „Ręce precz od Związku Rad" — jednoczyło robotników całego świata w obronie młodej Republiki Socjalistycznej.

Po 35 latach na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Józef Stalin powiedział:

„Szczególnie cenne jest dla nas zaufanie, które oznacza gotowość poparcia naszej partii w walce o promienną przyszłość narodów, w jej walce przeciwko wojnie, w jej walce o zachowanie pokoju. Byłoby błędem sądzić, że partia nasza, która stała się potężną siłą, nie potrzebuje już poparcia.

Jest to niesłuszne. Nasza partia i nasz kraj zawsze potrzebowały i będą potrzebowały zaufania, sympatii i poparcia bratnich narodów".

Głęboką wymowę mają te słowa Stalina.

Dziś, kiedy Związek Radziecki jest największą potęgą świata, kiedy partia Lenina i Stalina rozpoczyna budowę ustroju komunistycznego, w tych wzruszających swoją prostotą słowach dźwięczy znowu leninowska p r a w d a, która w dniach Października przyświecała młodej Rewolucji Socjalistycznej.

Helena Bobińska.

ANDRZEJ BRAUN

XIX Zjazd

Dwudziestu komisarzy rozstrzelanych w piaskach —
Słowa ich dławi w ustach krew, lub kolba płaska.
Coś, żołdaku angielski, dojrzał w oczach u nich,
konających z tym jednym wyrazem: komunizm...
Co wskazywały ręce ich ze wspólnych dołów,
usta, skrzywione bólem, w które lano ołów
i rozpaloną cynę...
A wiosną Konna Armia ciągnie z świeżej runi
i sławi znów kozacka piosenka komunizm.
Odległy był, daleki, a już go widzieli
w subotnikach głodowych, wśród pierwszych arteli.
Choć na próżno Czapajew słów potrzebnych szukał,
głos drżący argumentem był dla samouka
historii. A te myśli sumowała Partia.
I to była jej siła, to była jej karta.
Przez głody i zawroty, przez mądrość, cierpliwość,
przez trud niespotykany, przez wiarę jak ogień,
świadomą dyscyplinę, jawność, prawdę żywą,
dobroć bez pobłażania, jedną, ludzką drogę,
przez zwycięstwa i straty, przez marsz nieustanny,
walkę o zbiory, huty, o dom podpalony,
o moralność narodu, wciąż jak blask poranny
świecił bliżej komunizm i sztandar czerwony
Aż wreszcie można było powiedzieć: on w progu...
określić go cyframi, poznać jego prawa,
widzieć blask jego cały, oślepić nim wrogów
i witać jego twórców w delegackich ławach.
Sekretarzy rejkomów, komisarzy armii,
tych, którzy się przez bramę Zimowego wdarli,
skośnookich partorgów, którzy z jurt i pieczar
w komunizm republiki wiedli z średniowiecza
i sławnych komendantów czerwonych oddziałów
siwych już jak gołębie, których się widziało
na wypłowiałych zdjęciach w roku siedemnastym
w śpiczastych budionnówkach, z łatą wielkiej gwiazdy,
z naganem, z krzywą szablą i w połach szyneli.
Ci na chudych pancerkach, przed którymi drżeli
białogwardyjscy kaci. I ci, których nie ma,
a których życie było jak pieśń, jak poemat.
Obok nich pokolenia wzrosłe z Komsomołu.
One spleśniałą korę zdzierały pospołu
na nowe tory pchając starą bryłę świata.
Dzieci ledwie — królestwa ścierali na mapach,
a dziś zmazują góry, rzeki i pustynie,
stojąc pośród ogrodów i mórz na turbinie,
co chlusta światłem, blask planety wzmaga —
Ziemia, ojczyzna ludzi, wczoraj jeszcze naga...
Dzisiaj płonie czerwienią jak gwiazda wśród nieba.
Najlepsi, najmądrzejsi wykrywają prawa,
aby służyły ludziom, na kremlowskich ławach
radząc o przejściach w lata bezpłatnego chleba.

JAN STEFCZYK

NOTATKI Z PODRÓŻY DO MOSKWY (I)

Książka w Związku Radzieckim

ZEGAR

Głęboko, na dnie miasta, na stacji metra „Komsomolskaja", na elektrycznym zegarze, umieszczonym nad wylotem tunelu, ukazują się, w odstępach pięciosekundowych, świetlne cyfry. Zegar ma cykl dwuminutowy. Zaczyna chodzić w chwili, gdy środkowy wagon pociągu znika w tunelu. Pełna minuta mija bez szczególnych zdarzeń. Gdy zegar wskazuje jedną minutę i 10 sekund — z przeciwległego wylotu dochodzi już turkot. Minuta i 15 sekund: pociąg wjeżdża na stację. Minuta i 20: pociąg staje, drzwi otwierają się. Minuta i 35: drzwi zamknęły się, pociąg rusza. Minuta i 45: pędzący pociąg znika w czeluści tunelu, a zegar zaczyna chodzić od nowa.

Przyglądałem się temu dość długo. Urzekała mnie bezbłędna precyzja ruchu. Myślałem o tym, jak trudno jest zabezpieczyć przed wypadkami taką częstotliwość przejazdów. Nie łatwo przecież wyobrazić sobie katastrofę koszmarniejszą od zderzenia się pociągów w wąskim gardle tunelu.

Opowiadano mi o misternym systemie hamulców mechanicznych, gęsto rozsianych na trasie, które, w razie potrzeby, sprzęgnąwszy się z hamulcem umieszczonym na wagonach, potrafią momentalnie wstrzymać całą podziemną cyrkulację. Na którejś naradzie inżynierów metra padł projekt, aby system zabezpieczeń mechanicznych zastąpić innym, elektrycznym. Gdy zastanawiano się nad opłacalnością takiej zmiany, okazało się, że dotychczasowej aparatury nie użyto jeszcze od początku istnienia metra moskiewskiego ani razu!

Radziecka organizacja. Ten nowy synonim dobrze, poważnie obmyślonej i umiejętnie w życie wprzęgniętej, niezmiernie sprawnej i spokojnej zarazem organizacji utrwala się w umyśle przyjezdnego, poparty dziesiątkami, setkami przykładów. Owe wzory szczytowej organizacji, które świeciły dawniej światu, wyrodniały szybko: bądź w brobdingnagowską gigantomanię marnotrawstwa i spekulacji, bądź w pacząca człowieka tępą pedanterię. Organizację radziecką, przy całym rozmachu i całej precyzji cechuje głęboko ludzki rozsądek, zmysł proporcji, oszczędność.

Gdy przybywa nowa maszyna drukarska — stara nie idzie na złom, ale, jeśli to się opłaca, wykorzystuje się do końca zawarte w niej możliwości. Zaraz po wojnie, obok ruin zburzonego dworca kolejowego w Smoleńsku postawiono tymczasowy, duży, drewniany budynek dworca. Niedawno zaś, na miejscu zburzonego stanął nowy, piękny gmach. A jakie są dalsze losy starej, jak byśmy to nazwali, „drewnianej budy"? Czy rozwalił ją spychacz, a drzewo poszło na opał? Nie! Widziałem na własne oczy, jak „drewniak" ostrożnie rozbierano, numerując (tak!) poszczególne deski. Będzie z niego, jak przypuszczam, jeszcze przez szereg lat wcale niezły budynek dworcowy, może jakiejś powiatowej stacji kolejowej.

Wzdłuż ulicy, jeden za drugim rosną nowe, ośmiopiętrowe gmachy mieszkalne. A naprzeciwko, lub obok, psując linię, mącąc wrażenie, sterczą jeszcze brzydkie kamienice w stylu handlowo - czynszowym z lat dziewięćdziesiątych, uwieńczone niekiedy biodrzastą mozaiką „Jugendstilu" w guście brodatego kupca pierwszej gildii. Każdy, kto miał do czynienia z urbanistami okresu socjalizmu, rozumie, jak silna musi być owa, wywołana estetycznym swędzeniem pokusa, aby pod pierwszym lepszym pretekstem zburzyć niepostrzeżenie te brzydactwa. Ale urbaniści Moskwy mają silne nerwy: domy będą stały dopóty, dopóki na zimno wyliczone przesłanki gospodarczej i urbanistycznej polityki inwestycyjnej nie każą ich usunąć. Wtedy znikną szybko, jak zaczarowany pałac Ali-Baby.

Racjonalna organizacja... Podziwiając organizację radziecką, nie wolno tracić z oczu celu, któremu służy. Ostrzega przed tym Stalin:

„...Zapewnienie maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa jest *celem* produkcji socjalistycznej; nieprzerwany wzrost i doskonalenie produkcji socjalistycznej na bazie najwyższej techniki jest *środkiem* do osiągnięcia celu." (J. Stalin „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR").

MUZEA PRZYSZŁOŚCI

Trudno byłoby pojąć sens dziejących się zdarzeń, dojrzeć jasno ich niepowstrzymany rozwój, nie rozumiejąc tego jedynego w swoim rodzaju zjawiska historycznego: dwóch genialnych ludzi, porywających wzwyż zwycięską Rewolucję Ludu na skrzydłach marksistowskiej teorii i praktyki. Nie łatwo to dobrze zrozumieć i dlatego warto zwiedzić niepodobne do żadnych innych muzeów na świecie: Muzeum Lenina w Moskwie i w Gorkach, i Wystawę Podarków na 70-lecie Stalina w Muzeum Puszkina w Moskwie. Widać tu, jak od kolebki Rewolucji geniusz Lenina i Stalina zespala teorię z praktyką w sposób dla geniuszu typowy: to czego przed chwilą nikt wydobyć nie mógł z gęstwiny pojęć, z zamętu wydarzeń — po chwili stoi przed nami jasne i proste. Widać również miłość, szacunek i wdzięczność ludzi radzieckich, wzruszenie tysięcznych rzesz zwiedzających na widok niekończących się sal z podarkami dla Stalina, z podarkami ze wszystkich kontynentów, wszystkich krajów, gdzie biją serca nadzieją lepszej przyszłości.

„Historia ludzkości zna wielu wybitnych, genialnych ludzi. Lecz Lenin i Stalin są jedyni w swoim rodzaju. Wielkość ich wynika nie tylko z nich samych. Korzeniami swoimi tkwią oni głęboko w masach, z nimi są nierozłącznie związane najszlachetniejsze ideały i dążenia mas pracujących całego świata. *Masy pragną, aby oni byli wielkimi. W ich wielkości widzą swą własną wielkość*" (Kalinin „W 60-tą rocznicę urodzin Stalina" — podkr. moje).

W muzeach tych widać najjaśniej perspektywę trudów, walk i triumfów ludzi radzieckich. Są to muzea przyszłości.

KSIĄŻKI

Przyglądam się ludziom: na ulicy, w sklepach, w redakcjach. Szczególna ostrość widzenia człowieka nowoprzybyłego uczula go na specyficzny nastrój miasta, na zachowanie się ludzi, na tętno życia ulicy. Na rozległych płaszczyznach głównych arterii; na wąskich chodnikach Arbatu, Pietrowki; wśród mas ludzkich spływających nieustannie kaskadami ruchomych schodów do metra, płynących po hektarach marmurów, w fontannach świateł, pod kopułami porfirów, alabastrów, mozaik; w foyer teatru; w Uniwermagu — to samo połączenie zdyscyplinowania i żartobliwej swobody, spokoju i ożywienia. Przyjemne miasto, gdzie ludzie osiągnęli już ten stopień kultury, który cechuje pogoda i wzajemna życzliwość.

Jedno z najbardziej charakterystycznych wszakże, niespotykane gdzie indziej zjawisko — to wszechobecność książki. Książka — dominanta, książka — leitmotiv. W pociągu, autobusie, trolejbusie, wagonie metra, na skwerku, w parku, nieustannie znajduje się dziesiątki ludzi, zatopionych w lekturze książek. Czytają oczywiście również podręczniki szkolne i uniwersyteckie, ale przede wszystkim powieści: współczesnych pisarzy i klasyków. Przyjezdnemu robi się nagle bardzo swojsko w tym mieście — zrozumiał, że ma z jego mieszkańcami setki wspólnych znajomych.

Dopiero zapoznanie się z wydawnictwami radzieckimi pozwala wejrzeć głębiej w to zjawisko. Książka w Związku Radzieckim stała się równie masowym nosicielem kultury jak kino, teatr, radio. Partia i rząd przez długie lata dalekowzrocznej pracy politycznej potrafiły rozwinąć potrzebę dobrej lektury i tak podniosły wymagania mas — przede wszystkim jakościowe, ale również i ilościowe — że obecnie przed radzieckim ruchem wydawniczym stanęło niełatwe do rozwiązania zagadnienie: jak zaspokoić to burzliwe zapotrzebowanie na książki, żądania czytelnika, którego smak wyostrza się, zmysł krytyczny rośnie. Chłonność zmusza do ciągłego podwyższania nakładów i rozszerzania bazy produkcyjnej. Na rok bieżący zaplanowano 800.000.000 egzemplarzy, a wykona się zapewne miliard. Ale to mało. Oddajmy głos dyrektorowi „Dietgizu":

„Nasz średni nakład — 113.000 egzemplarzy, w bibliotece szkolnej — 150.000. Cóż, kiedy nasza polityka nakładowa chroma na obie nogi, nie możemy zaspokoić popytu. W rozmowach z organizacją sprzedaży, kiedy my na przykład proponujemy 400.000 — oni żądają 1.500.000. Właśnie zapadła uchwała o rozszerzeniu naszej bazy poligraficznej..."

W ROKU 1905!

W gorącym okresie rewolucji, w listopadzie 1905 roku, Lenin ogłosił artykuł w piśmie „Nowaja Żizń" m. in. o wolności pisarza w kraju kapitalistycznym:

„Żyć w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa nie można. Wolność burżuazyjnego pisarza, artysty, aktorki jest tylko zamaskowaną (lub obłudnie maskowaną) zależnością od kiesy, od przekupstwa, od utrzymania".

... i o literaturze w przyszłym kraju socjalizmu:

„Będzie to literatura wolna dlatego, że będzie służyła nie przesyconej bohaterce, nie znudzonym i cierpiącym od nadmiaru tłuszczu „górnym dziesięciu tysiącom", lecz milionom, dziesiątkom milionów ludzi pracy, którzy są kwiatem kraju, jego siłą, jego przyszłością".

A w artykule pisanym na śmierć Lwa Tołstoja, zamieszczonym w „Socjaldemokracie" z listopada 1910 czytamy:

„Tołstoj jako pisarz nawet w Rosji znany jest tylko przez nieznaczną mniejszość. Aby jego wielkie dzieła stały się rzeczywiście własnością *wszystkich*, trzeba walki przeciw takiemu ustrojowi społecznemu, który skazał miliony, dziesiątki milionów na ciemnotę, zahukanie, katorżniczą pracę i nędzę — trzeba przewrotu socjalistycznego".

Warto również w tym miejscu przytoczyć pewną analizę z małego studium Jegolina pt. „Stalin a literatura radziecka":

„Towarzysz Stalin najczęściej posługuje się przykładami z literatury rosyjskiej. Naczelne miejsce w jego dziełach zajmują cytaty z klasyków XIX w.: Kryłowa, Puszkina, Lermontowa, Gogola, Kolcowa, Niekrasowa, Szczedrina, G. Uspienskiego, Ostrowskiego, Czechowa. Ze współczesnych pisarzy radzieckich spotykamy Gorkiego, Majakowskiego, Erenburga i innych. Z pisarzy obcych: Cervantesa, Szekspira, Goethego, Heinego, Whitmana i innych".

I znowu — u źródeł polityki partii, wyznaczającej książce radzieckiego pisarza i książkom klasyków rosyjskich i klasyków całego świata tak ogromną rolę w formowaniu komunistycznej świadomości społeczeństwa radzieckiego znajdujemy te same dwie genialne postacie — Lenina i Stalina. Ich głębokie rozumienie roli literatury rzutuje się przez politykę partii na obecny, triumfalny marsz literatury pięknej w głąb i wszerz, aż do najdalszych osiedli, najodleglejszych zakątków tego niezmierzonego kraju. Dalekowzroczna wizja Lenina przyoblekа się w ciało: zdobycie władzy przez proletariat umożliwiło rozkwit kultury.

KLASYCY

Pomówmy o klasykach. Edycje literatury klasycznej, rosyjskiej i obcej — to jedno z głównych zadań Goslitizdatu, wydawnictwa mającego za sobą 25 lat działalności. Nad jakimi klasykami wydawnictwo pracuje? Na warsztacie znajdują się jednocześnie 24 zbiorowe wydania. A więc 19-tomowe, akademickie, pełne wydanie Lwa Tołstoja, zawierające wszystkie listy, notatki — całą spuściznę, a więc 20-tomowe akademickie, pełne wydanie Czechowa, pełne wydanie A. N. Tołstoja, Bażowa; Dreiser w 12 tomach, Balzac w 13, Hugo w 15, Gonczarow w 8 tomach. W roku bieżącym, jubileuszowym, wydano 4 miliony egzemplarzy Gogola (ilustrowanych m.in. przez Gerasimowa, Kukryniksów i innych malarzy i grafików), w tymże roku ukazuje się około miliona egzemplarzy Lwa Tołstoja, około 5 milionów Gorkiego. Puszkin wychodzi w przeciętnym nakładzie 2 do 3 milionów rocznie.

A jakie wydania klasyków przygotowuje Goslitizdat na rok 1953? Pełne wydanie Gogola, dokończenie wielkich wydań Gorkiego i Ostrowskiego, rozpoczęcie nowego wydania Korolenki w 6 tomach; Majakowski w 6 tomach, nowy Sałtykow-Szczedrin, nowe trzytomowe wydanie Michajłowa, kontynuacje akademickiego wydania Lwa Tołstoja i Uspienskiego, nowy 12-tomowy Turgieniew, wybór Briusowa, jednotomowy Błok, Hercen w 2 tomach, jednotomowiec Kryłowa, trzytomowy Kuprin, dwutomowy Lermontow, Leskow w jednym tomie, Majakowski w 2 tomach, Nieczajew w jednym tomie, Ogariew w jednym, trzytomowy wybór Puszkina, jednotomowy Połeżajew, takiż Staniukowicz; pamiętniki literackie, wybór poezji rosyjskiej XVIII wieku, prozy XIX wieku...

Zaczyna się ta cała robota od konferencji z czytelnikami w mieście i na wsi, w fabrykach, kołchozach, parkach kultury, świetlicach. Czytelnicy mówią, jakich im książek potrzeba, jakie im się podobają, jakie mają do wydawnictwa pretensje. Z kolei wydawnictwo opowiada o swoich planach, a czytelnicy poddają je krytyce. Dalsza krytyka zawarta jest w listach, których przychodzi do wydawnictwa kilkadziesiąt dziennie. Następnie rozpoczyna się podstawowa praca ze specjalistami, tekstologami, którzy tworzą robocze kolegium, ustalają zestaw i zawartość każdego tomu, typ i charakter komentarzy, gromadzą materiały, ustalają wydania wzorcowe.

Główne zadanie — to sporządzenie tak szerokiego wachlarza wydań, aby każdy typ czytelnika znalazł to, co mu najbardziej odpowiada. A więc wydania akademickie, pełne, obciążone całym aparatem naukowym, zawierające wszystkie warianty i redakcje — dla niewielkiego kręgu odbiorców, głównie specjalistów, w nakładach od 10 do 50 tysięcy egzemplarzy. Dalej — dzieła zebrane — zawierające wszystkie zakończone i niedokończone utwory, stanowiące jednak artystyczną całość, w nakładach od 100 do 200 tysięcy. Następnie wybory jedno-, dwu- i trzytomowe o nakładzie od 100 do 300 tysięcy. Oddzielne powieści. Najlepsze z nich w serii „Biblioteka powieści rosyjskiej", w jednolitej formie wydawniczej, w trzystutysięcznych nakładach. Seria masowa, zawierająca jedną powieść lub kilka opowiadań, w broszurze; nakład od 500 do 700 tysięcy. I na koniec powieść-gazeta, gdzie zresztą ukazują się przeważnie utwory współczesne, przy nakładzie pół miliona posiada 300.000 prenumeratorów!

Jak wygląda praca nad klasykami polskimi? Klasycy polscy stanowią połowę wydań zagranicznych literatur słowiańskich Goslitizdatu. W planie redakcyjnym na 1952 znajdujemy: pięciotomowy wybór Orzeszkowej, Orkana „W roztokach", opowiadania Reymonta, nowy przekład Pawłowej „Pana Tadeusza", polskie pieśni rewolucyjne, 25-arkuszowy wybór artykułów autorów polskich i rosyjskich o literaturze polskiej; w planie produkcyjnym 1953: czwarty i piąty tom Mickiewicza, poezje wybrane Kondratowicza, 36-arkuszowy wybór Słowackiego. Z masowych wydań: jednotomowe wydania opowiadań Sienkiewicza, Konopnickiej i Prusa w nakładach po 150.000 egzemplarzy. Przekładami poezji polskiej dla wydawnictwa zajmowali się dotąd tłumacze tacy jak Lewik („Dziady"), Martynow, Tichonow, Asiejew, Michałkow (Tuwim), Ługowskoj, Rylski, Swietłow, Michał Gołodny, Bezymienski i wielu innych.

ILUSTRACJE

Klasycy — to dopiero połowa produkcji Goslitizdatu. Wydawnictwo zajmuje się również masowymi wydaniami współczesnych pisarzy rosyjskich, literaturą narodów ZSRR i literaturoznawstwem.

Nowa literatura radziecka wychodzi tu zwykle w dalszych wydaniach; pierwszymi wydaniami zajmuje się przeważnie wydawnictwo „Sowietskij Pisatiel". Wokół Goslitizdatu grupuje się około pięciuset pisarzy i recenzentów: ideologiczna i artystyczna współpraca z pisarzem nad dalszymi wydaniami trwa nieustannie. Wielkie znaczenie przywiązuje się do spraw grafiki książkowej.

Wydawnictwo współpracuje stale ze stu osiemdziesięcioma artystami-grafikami, począwszy od najzasłużeńszych i najsławniejszych, jak np. sędziwy Gerasimow, a kończąc na debiutantach, jak np. Dubiński, zeszłoroczny laureat Nagrody Stalinowskiej. Ilustrator z reguły odwiedza miejsca, gdzie toczy się akcja utworu, ogląda kopalnie, fabryki, pejzaż, zapoznaje się z ludźmi. Przebywa w tym celu przeciętnie 3 do 4 miesięcy w terenie.

„Okopy Stalingradu" Niekrasowa i „Białą brzozę" Bubiennowa ilustrują graficy, którzy brali czynny udział w walkach na tych frontach. Konstantinow, zanim zabrał się do ilustrowania „Sonetów Krymskich", odbył podróż po Krymie, gdzie wielokrotnie wędrował szlakami Mickiewicza. Praca nad jedną książką trwa co najmniej rok, często dłużej. Alakrinski pracował trzy lata nad ilustracjami do „Klima Samgina". Rada artystyczna wydawnictwa współpracuje z grafikiem, służy mu radą i pomocą.

PERSPEKTYWY

Wydawnictwa radzieckie znajdują się w stanie ustawicznego, niepowstrzymanego rozwoju. Nie lada to bowiem zadanie dotrzymać kroku dynamice kultury kraju, gdzie obecnie na 200 milionów mieszkańców 57 milionów kształci się na tysiącach uczelni wszelkich typów! Gdzie funkcjonuje 368.000 bibliotek; o tym zaś, jak ich liczba rośnie, niech świadczy fakt, że od końca wojny przybyło ich 120.000! Gdzie przyrost naturalny ludności wynosi 3.200.000 rocznie!

Teoretyczne wyjaśnienie znaczenia niebywałego rozkwitu kultury w Związku Radzieckim daje nam Stalin w „Ekonomicznych problemach socjalizmu w ZSRR", mówiąc o *trzecim warunku wstępnym przygotowania rzeczywistego przejścia do komunizmu:*

„Trzeba, po trzecie, osiągnąć taki poziom kulturalny społeczeństwa, który by zapewnił wszystkim członkom społeczeństwa wszechstronny rozwój ich zdolności fizycznych i umysłowych, aby członkowie społeczeństwa mieli możność uzyskania takiego wykształcenia, które mogłoby uczynić z nich aktywnych działaczy rozwoju społecznego, aby mieli oni możność swobodnego wyboru zawodu, a nie byli przykuci na całe życie, wskutek istniejącego podziału pracy, do jakiegoś jednego zawodu".

Praktyczną wskazówkę w tej mierze, na najbliższą przyszłość, dają dyrektywy XIX Zjazdu partii w sprawie piątego Planu Pięcioletniego:

„Do końca pięciolatki (tj. do roku 1955 — przyp. mój) zakończyć przechodzenie od systemu nauczania 7-letniego do powszechnego nauczania średniego (10-latka) w stolicach republik, w miastach wydzielonych, w miastach obwodowych, krajowych i wielkich ośrodkach przemysłowych. Przygotować warunki dla pełnej realizacji w następnej pięciolatce powszechnego nauczania średniego (10-latka) w pozostałych miastach i miejscowościach wiejskich..."

Historyczne znaczenie tego wydarzenia, które spełni się w tak bliskiej przyszłości, porównać można tylko ze znaczeniem wynalazku druku, lub wynalazku papieru. Związek Radziecki będzie pierwszym na świecie krajem, który zda egzamin dojrzałości, w sensie nieprzenośnym! Oto odpowiedź dla Bironów, Maniłowów i Bałałajkinów imperializmu XX wieku i kapitalizmu XIX wieku, misjonarzy, kathedersocjalistów, Kiplingów, fabianów, filantropów, kolonizatorów, 100, 50 i 25-procentowych faszystów wszelkiego autoramentu.

Jak na tle tych faktów wygląda kultura „przodującego kraju kapitalistycznej wolności"?

AMERYKAŃSKIE INTERLUDIUM

Nie powinniśmy tego pytania pozostawić bez odpowiedzi. Udzieli jej nam S. Sillen, redaktor „Masses & Mainstream":

„...Handel księgarski jest zaniepokojony — i nie bez powodu, spadkiem czytelnictwa w Ameryce. „Kryzys czytelnictwa" był głównym tematem obrad konferencji Stowarzyszenia Księgarzy Amerykańskich, która odbyła się latem 1952 roku w Waszyngtonie... Księgarzy przeraża nie tyle upadek kultury (w społeczeństwie amerykańskim), ile spadek wpływów kasowych...

...Według *Forbes Magazine* sprzedaż książek od r. 1946 do 1950 zmniejszyła się o 20 proc...

...Harry Scherman, prezes przedsiębiorstwa „Książka co miesiąc", mówi:

„Jest rzeczą znamienną, że wydawca utrzymuje obecnie stosunki handlowe zaledwie z 400 księgarniami, gdyż obroty w pozostałych księgarniach są tak małe, że stosunki z nimi przestały się opłacać". Oznacza to, że przeciętnie na każdy stan USA przypada zaledwie osiem prosperujących księgarń!...

...Miłośnik książki = wywrotowiec. To równanie McCarthy'ego (osławionego wydawcy „Chicago Tribune") zostało jasno sformułowane w typowym produkcie panującej kultury, hollywoodzkim filmie „Mój syn John". Ten faszystowski film, gloryfikujący FBI, kieruje groźne podejrzenie na jedną z osób działających, dlatego tylko, że jest to mól książkowy. Czyż potrzeba dalszych dowodów na to, że jest to wróg Ameryki, obcy element, zarażony komunizmem?

Czyż generał Eisenhower, obejmując prezydenturę uniwersytetu Columbia, nie powiedział w swojej mowie inauguracyjnej, że od lat dziewięciu nie przeczytał ani jednej książki?...

...Mickey Spillane, „jasnowłosy kochanek Śmierci", jak go nazywa „Life", autor brukowych książek, wydawanych w milionowych nakładach, pisze według formuły: pornografia, sadyzm i mord — w antykomunistycznym sosie (jest to zresztą również recepta redaktorska „Life'u"). Spillane oświadcza:

„Do diabła, nie jestem autorem, jestem pisarzem! Muszę jakoś zarobić na utrzymanie. Nie piszę dla przyjemności. Nie zamierzam wychowywać ludzi. Usiłuję ich po prostu zabawić. A jeżeli mi napychają kabzę, to nie trzeba mi niczego więcej"...

KSIĄŻKA IDZIE W ŚWIAT

Książka w ZSRR dociera do odbiorcy nie tylko przez księgarnie. Ale i księgarnie przechodzą głęboką ewolucję, chcąc coraz lepiej i umiejętniej służyć swoim odbiorcom. Wiele księgarń objętych zostało nowym typem współzawodnictwa w dziedzinie literatury pięknej. Sprzedawcy dzielą między siebie przychodzące tytuły, czytają je i na wspólnych zebraniach opowiadają sobie ich treść. Celem tej pracy jest wprowadzenie obowiązującej zasady, że sprzedawca potrafi opowiedzieć pokrótce klientowi treść każdej książki beletrystycznej, jaka znajduje się w księgarni.

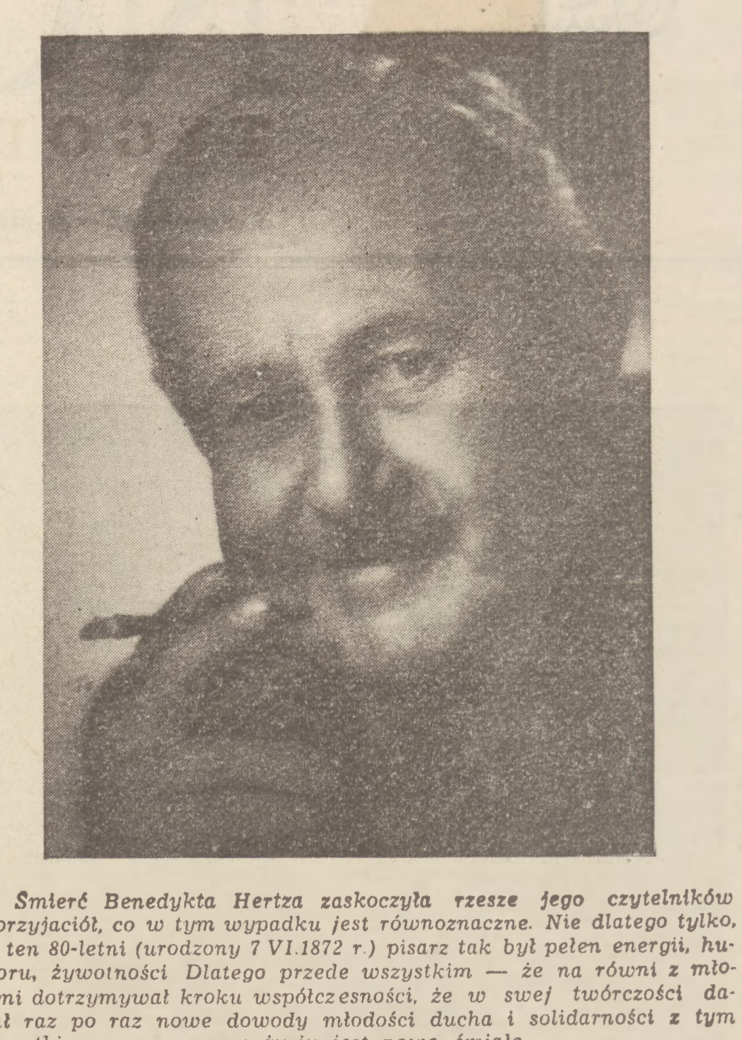
Inne księgarnie otwierają u siebie sale czytelniane, gdzie każdy może przejrzeć, a nawet przeczytać „od deski do deski" książkę, której zażąda, bez obowiązku kupna.

— Jeżeli który z naszych klientów myśli, że nas nabrał — powiada pracownik księgarski — dlatego że książkę przeczytał, a nie kupił, to jest w grubym błędzie. W akcji upowszechnienia kultury — 1:0 dla nas!

Coraz więcej księgarń grupuje wokół siebie tzw. „rady pomocy",

(Dokończenie na str. 7-ej)

BENEDYKT HERTZ



Śmierć Benedykta Hertza zaskoczyła rzesze jego czytelników i przyjaciół, co w tym wypadku jest równoznaczne. Nie dlatego tylko, że ten 80-letni (urodzony 7 VI.1872 r.) pisarz tak był pełen energii, humoru, żywotności Dlatego przede wszystkim — że na równi z młodymi dotrzymywał kroku współczesności, że w swej twórczości dawał raz po raz nowe dowody młodości ducha i solidarności z tym wszystkim, co w naszym życiu jest nowe, śmiałe.

Literatura polska straciła nie tylko nestora naszej satyry, ale prawdziwego odnowiciela — w najbardziej współczesnym sensie tego słowa — tych gatunków poetyckich, których rozkwit przypadał na najlepsze dni młodości naszego piśmiennictwa; mowa o bajce satyrycznej, fraszce, przypowieści. Dopiero co wydany („Czytelnik" 1952) jubileuszony wybór satyr Hertza uświadomił nam wszystkim, że mamy oto ważny drogowskaz dalszego rozwoju tej właśnie gałęzi literatury, której znaczenie z każdym dniem rośnie, tak często będąc zapoznawane i fałszywie rozumiane. Radość i podziw ogarniała, gdy się czytało te wiersze — tak uderzająco celne, a proste, gdy się obserwowało trudny, ale konsekwentny bieg postępowej i śmiałej linii rozwoju tego poety, który w 1905 roku dawał bobu łamistrajkom i żandarmom, w latach dwudziestych — endekom, „Chjenie", paskarzom, w latach sanacyjnego teroru — faszystom i rasistom wszelkiej maści, podczas okupacji, z ukrycia — raził hitlerowców, a w naszych już ludowych dniach — z nowym zapałem, bez szablonu, po majstersku, z przekonaniem — broń śmiechu obracał przeciw wrogom naszych swobód, naszych granic, naszej przyszłości. Do podziwu i radości dołączył się teraz prawdziwy żal. Straciliśmy pisarza znakomitego, bojowego demokratę, sługę i ulubieńca ludu.

Benedykt Hertz, syn powstańca 1863 roku, członek PZPR, autor dwudziestu przeszło książek, pisarz i aktor, wróg kołtuna i przyjaciel prostego człowieka — na pewno dobrze się zasłużył literaurze polskiej Ostatnim jego dziełem, które zakończył w noc przed zgonem, była „Antologia bajki polskiej" Ostatnim jego występem publicznym był wieczór autorski w Komitecie Frontu Narodowego 58 obwodu Warszawy, kilka dni przed wyborami. Ten przykład zaapmiętamy.

„Nowa Kultura" w najbliższym numerze zamieści m. in. — niepublikowany dotąd — życiorys własny Benedykta Hertza.

TADEUSZ DREWNOWSKI

PRZED TRZYDZIESTU PIĘCIU LATY — I PÓŹNIEJ



Lenin w Smolnym

„On krąży
jak krążył
w serc naszych tętnie
Żywą
człowieczą wiosną“
Majakowski, Dobrze.

Do Leningradu przyjechaliśmy na początku lipca minionego lata. Razem z naszą dziewięcioosobową grupą pracowników prasy polskiej jechało czterech czeskich towarzyszy z redakcji „Rudeho Prava“. Z Moskwy wyruszyliśmy pod koniec upalnego, dusznego, naładowanego burzami dnia czerwonymi wagonami „Krasnej Striely“. Im bardziej na północ — jeszcze przed godziną świtu — noc bledła i rozjaśniała się. Na własne oczy oglądałem zjawisko, które miałem dotąd za pół-poetycką metaforę: białe noc.. Teraz w lipcu białe noce miały się w Leningradzie ku końcowi. Zbliżając się do celu podróży z okien pociągu próbowaliśmy rozpoznawać w nieznanym, lesistym krajobrazie ślady wojny.

Powitania. W przemówieniach i toastach — nieodłącznych w takich chwilach — powtarzało się to, o czym my, w większości przyjeżdżający po raz pierwszy do Leningradu, myśleliśmy ze wzruszeniem: „kolebka rewolucji“, „miasto Lenina“.

Koło południa wyruszyliśmy na pierwszą przejażdżkę po mieście. Chłonę szeroki oddech nadnewskich prospektów, niezrównaną architekturę rosyjskiego klasycyzmu, piękno nieznanego miasta, w którym znajduje się od razu tyle znajomych miejsc, jakby się powracało do nich po latach niewidzenia. Auta mkną po nadbrzeżnych autostradach, coraz to przeskakują mosty nad niezliczonymi odnogami Newy i ocembrowanych kanałów. Całe części miasta rozłożyły się na wyspach. Dopiero po dalszych wycieczkach — do Razliwu i Peterhofu — zorientujemy się lepiej w topografii Leningradu. Miasto, niegdyś z rozkazu Piotra zbudowane na bagnistej delcie Newy, podchodzi do brzegów zalewu Fińskiego i omalże obejmuje swymi przedmieściami początki wód zalewu. Teraz o tych legendarnych błotach dowiadujemy się tylko ze słyszenia. W tym roku — opowiadają po drodze towarzysze radzieccy — zostanie uruchomiona pierwsza linia leningradzkiego metra. Dużo było kłopotów z budową metra. Niektórzy w ogóle zwątpili, czy da się je tu przeprowadzić. Podskórna woda.., Ale roboty są już na ukończeniu...

Z daleka, z przeciwnego brzegu, dostrzegamy kolos „Aurory“. Poganiamy z niecierpliwością auta. Kanonada „Aurory“ — w jakim zakątku świata jej nie słyszano! Jeszcze dziś w różnych częściach globu rozlegają się jej echa. Myślę o manewrze, jaki świtem, 25 października wykonała „Aurora“. Niespodzianie z brzegów Newy wymierzyła śmiertelną salwę wprost w okna Smolnego — siedziby Rządu Tymczasowego. Dziś weteran rewolucji, przepłynąwszy przed gmach wojennej szkoły morskiej, wmurowany i odmłodzony, jest okrętem szkoleniowym nowych oddziałów słynnych leningradzkich marynarzy. Długo stoimy przy nadbrzeżnej balustradzie. Stąd rozpościera się szeroka, harmonijna panorama prawego brzegu miasta: ciemno - zielony zimowy pałacyk Piotra w bujnej zieleni starego parku, złote hełmy i maczugi cerkwi, szpic Admiralickiej igły...

Drugi postój — Dworzec Finlandzki. I tu zaczyna się główny wątek całej naszej leningradzkiej podróży. 3 kwiecień niezapomnianego roku 1917, przyjazd Lenina do Pitra, początek największej epopei. Jest jasne, słoneczne południe, lecz całą siłę wyobraźni angażuję po to, żeby uprzytomnić sobie tę nocną godzinę przyjazdu Lenina. Tłumy robotników, żołnierzy i marynarzy zalegały plac przydworcowy i wloty ulic. Stąd po latach wygnania przemówił wódz rewolucji do armii proletariuszy, którą nieraz przedtem prowadził do boju. Przez Niemcy, przez Europę, brzemienną w rewolucję, prowadziła droga Lenina do Piotrogrodu, gdzie poprowadzić miał proletariat do ostatniego boju, do uderzenia w najsłabsze ogniwo przeżartego wyzyskiem i wojną imperializmu.

Chodzimy po placu przy Dworcu Finlandzkim: pośrodku na wysokim postumencie postać Lenina przemawiającego z auta pancernego do tłumów. Rzeźba zaklęła w postawie i geście Lenina dynamikę tej powitalnej mowy. „Niech żyje rewolucja socjalistyczna“ — tym okrzykiem, jakże w anarchii wojny i zamęcie dwuwładzy, zdawało się, utopijnie brzmiącym, Lenin kończył swe przemówienie. Program, jaki następnego dnia Lenin sformułował w tezach kwietniowych, tę pozorną utopię z żelazną konsekwencją sprowadzał na ziemię. Po Piotrogrodzie przeszedł wtedy dreszcz zbliżającego się Października.

Później — z daleka tylko — z okien aut zobaczyliśmy po raz pierwszy Smolny. Tu jeszcze powrócimy — uspokajali nas radzieccy towarzysze.

*

Do Razliwu z Leningradu — 35 kilometrów.

Kiedy kontrrewolucja przeszła do rozpaczliwej ofensywy, kiedy Rząd Tymczasowy wydał nakaz aresztowania Lenina, tutaj towarzysz Stalin przeprowadził Lenina. Nieopodal biednej stacyjki podstołecznej rozłożyła się miejscowość, na której bliskość Piotrogrodu wywarła piętno letniska, a bliskość wód wielkiego jeziora — piętno osady rybackiej. Tu w nocy z 11 na 12 lipca przybył Lenin, ukrywany najpierw w parterowej izdebce. Jest prawie okrągła rocznica — bez paru dni — 35 lat temu. Przyglądamy się domkowi: ot, zwykła drewniana buda. Na dole było niebezpiecznie. Rozwścieczeni szpicle i agenci Rządu Tymczasowego węszyli nawet tutaj. Następnej nocy Lenin przenosi się na stryszek. Wsuwamy tam głowy. Wejście z ciasnej sionki po drabinie. Stół, krzesło — Lenin gdziekolwiek stanął, choćby na dzień — pracował. Porozrzucane szpargały, porozwieszane sieci — to była na krótko nowa kwatera Lenina.

Domek dziś obrócono na miejsce pamiątkowe. Mieliśmy okazję nieraz przekonać się w Moskwie, z jaką czcią pierwsze państwo zwycięskiej rewolucji chroni od zapomnienia i zatarcia ślady swej walki. Ale w tej razliwskiej ruderze to dawniejsze spostrzeżenie nabiera nowego wyrazu. Z całym pietyzmem zachowane są wszystkie miejsca, rzeczy, wspomnienia związane z imieniem Lenina. Gdy wchodzimy tutaj ogarnia nas wrażenie, że to zastygły Jego ślady, zatrzymał się czas. Rozglądamy się po mikroskopijnych salkach tego jedynego w swoim rodzaju muzeum. Z okien domku widać wody jeziora. Kto dał łódź Leninowi? Pytamy, żeby jak najdokładniej odtworzyć w myśli szlak dalszej ucieczki Lenina. — Łódź pochodziła od sąsiada, rybaka. — A jak daleko stąd na drugą stronę jeziora? Pięć kilometrów.

Samochód pokonuje tę przestrzeń, jadąc szosą prowadzącą brzegiem razliwu, nieporównanie szybciej niż wówczas, gdy nocą łódź przeprowadzała Lenina do nowej kryjówki.

Na pobrzeżach — plaże, po drugiej stronie szosy wydmy piaszczyste pokryte niewielkimi krzewami i zaroślami. Szosa prowadzi dość długo wzdłuż brzegu. Dojeżdżamy na miejsce. Dzisiaj nie odnajdziesz już dróżki, znanej niegdyś tylko wtajemniczonym bolszewikom. Pięćset metrów idziemy asfaltową drogą do miejsca, gdzie stał szałas Lenina. Jest upalna pogoda, lipcowa, tylko od pobliskiej wody nadciągnie czasami powiew wiatru. Pamięć stale domaga się precyzowania dystansu czasu. Ale jak trudno znaleźć miarę czasu, przekraczającą własne życie. Zresztą, czyż to ważne? Żyjemy przecież na tym szlaku według innego zegara — tu obraca się czas historii.

W niedalekim Pitrze szalał terror Rządu Tymczasowego. Do Pitra sprowadzono hordy reakcyjnego kozactwa, rozbraja się robotników i „określony odłam“ żołnierzy, szerzą się aresztowania między bolszewikami, zamknięto redakcję „Prawdy“. Dalszy pokojowy rozwój rewolucji — poprzez zagarnianie władzy przez Rady — staje się niemożliwy. W tych warunkach Lenin dyktuje inny kurs partii, uzasadnia go w artykule „W sprawie haseł“. „Hasło przejścia władzy w ręce Rad brzmiałoby teraz jak donkiszoteria lub kpiny“ — pisze. Teraz trzeba przede wszystkim wypełnić inne zadanie: uświadomić robotników, w czyim naprawdę ręku jest władza. Spod pióra Lenina, Lenina ukrytego w chaszczach nadrazliwskiego bezludzia, Lenina, wydawać by się mogło, z konieczności oderwanego od wypadków petersburskich, wychodzą dziesiątki artykułów, broszur, listów. Zerwać wszystkie maski z Rządu Tymczasowego, nie mydlić nikomu oczu, czyim rządem są Ceretelowie i Czernowowie.

Padają natarczywe pytania: skąd Lenin brał najświeższe wiadomości? Jak utrzymywał kontakt z CK partii? Którędy przyjeżdżali wysłannicy partii? — Oczywiście, wodą. Przyjeżdżał tu Stalin, i stały łącznik C.K. — Ordżonikidze.

I w tym dzikim ostępie Lenin bystrzej niż ktokolwiek inny przewidywał dalszy bieg wypadków. „Jeszcze bardziej oszołomił mnie następujący fakt — wspomina Sergo (pseudonim G. K. Ordżonikidze). — Gdy powtórzyłem zdanie pewnego towarzysza..., że nie później, niż w sierpniu — wrześniu władza przejdzie w ręce bolszewików i przewodniczącym rządu będzie Lenin. Iljicz zupełnie poważnie odpowiedział: tak, właśnie tak będzie“.

Lenin nie tylko wiedział, że „tak będzie“. Nie tracił ani chwili, ze wszystkich sił przygotowywał w myśli plan powstania zbrojnego i pierwszych kroków państwa socjalistycznego. W mózgu tego człowieka myśl — kierowana żelazną logiką — wyprzedzała historię, żłobiła jej przyszłe koryto.

Rozglądamy się po polanie. W 1927 roku na miejscu, gdzie znajdował się szałas, w którym Włodzimierz Iljicz przebył lato 1917 roku, stanął granitowy szałas-pomnik. Opodal sklecono szałas z gałęzi i mchu, żeby uprzytomnić warunki, w jakich żył. Parę kroków stąd dwa pieńki — „gabinet“, gdzie lubił pracować. W zielonym kajecie nerwowym pismem Lenina powstawała praca „Państwo a rewolucja“. Lenin porządkował myśli Marksa i Engelsa o państwie, wyprowadzał z nich wnioski w sprawie teorii państwa i dyktatury proletariatu, które za parę miesięcy będzie wcielał w pierwsze na świecie rzeczywiste państwo robotników i chłopów.

Nastały sierpniowe chłody. Zapowiedź wcześnie tu nadchodzącej jesiennej pory. Lenin nie mógł dłużej pozostawać w szałasie. Sytuacja nie pozwalała na powrót do Piotrogrodu. Lenin jako palacz, w peruce, z paszportem na nazwisko robotnika Iwanowa, przejeżdża granicę Finlandii. W życiu Włodzimierza Iljicza, owego palacza rewolucji, prawda jakże często odkrywa swe drugie oblicze — poezję. Nadeszło ostatnie wygnanie. Życiu tam również nie przestawało grozić niebezpieczeństwo. Lenin pisze wówczas do kierownictwa partyjnego, że jeżeli go dopadną agenci Rządu Tymczasowego należy za wszelką cenę uratować zeszyt „Marksizm o państwie“. W czasie nielegalnej podróży do Finlandii rękopis, od którego tak wiele zależało w przyszłości, był w rękach współtowarzysza podróży, potem ukryty został w Sztokholmie. Książki miewają różne dzieje, ale dla historii tej książki trudno szukać porównań.

Linia kolejowa z maleńkiej stacyjki Razliw prowadzi na północny wschód ku dawnej granicy fińskiej. Mijamy tory i mkniemy szosą nad Zalew Fiński. Resztę słonecznego dnia gospodarze nasi zaproponowali spędzić nad morzem. Droga staje się coraz piękniejsza. Szofer w naszym aucie otwiera radio. Na tyczkę chwiejnej anteny przypływają pierwsze dźwięki. Wpadamy w środek komunikatu: Jacques Duclos zwolniony z więzienia. Na szerokiej, słonecznej, wolnej, radzieckiej ziemi brutalne przypomnienie innego świata, złowieszczych atrybutów faszyzmu. Na chwilę zatrzymujemy auta, bo chcemy z towarzyszami podzielić się tą wiadomością. Między bogatym w zieleń szpalerem drzew migają wody zalewu, niekończące się, jak przestwory morza. Po prawej stronie szosy rozrzucone w lesie wille letniskowe i domy wypoczynkowe. Szosa jest wyludniona — ludzie mrowią się na przestronnych, rozgonionych plażach. Próbujemy wody: jest słona, bałtycka. Przerzuciliśmy się w inną rzeczywistość — w 35 lat później. Każdą myślą, gotującą się w nas radością, czujemy, ile związku jest między odległym rokiem 1917 a pogodnym dniem, który mamy przed sobą.

*

Innego dnia — wyjazd do Peterhofu, na drugą stronę Zalewu Fińskiego. Kilkanaście kilometrów za Leningradem na chwilę przystajemy przy pomniku obrońców Leningradu: dotąd doszły czołgi faszystowskie w czasie blokady miasta.

W tej podróży przeżycia narastają z każdym kilometrem, ale i coraz mocniej zaczynają się wikłać. Na ławce siedzą kobiety i dziadek z rozłożystą białą brodą. Wdajemy się w rozmowę. Są z okolicznej wioski. Nie trzeba było wielu słów, żeby wydobyć od dziadzia dręczące go wspomnienia. Tu — na linii obronnej — zginęli dwaj jego synowie. Dwóch jeszcze zostało — dodaje. Raz po raz przerzucamy się z jednej epoki w drugą. Taka jest natura tego miasta. Odchodząca w bok szosa — jak głosi drogowskaz — prowadzi do Carskiego Sioła, a więc do liceum, gdzie uczył się Puszkin. Ale czas nas goni i z tej trzydziestokilometrowej wyprawy z żalem trzeba zrezygnować.

Jedziemy do Peterhofu. Na tabliczce przed wejściem do dolnego parku letniej rezydencji Piotra I fotografia: ruiny pałacu Piotrowego zasypane zwałami śniegu. Hitlerowcy spalili pałac, zniszczyli zabytkowe parki. Dziś mając w oczach ponurą ruinę nie możemy poznać Peterhofu. Pałac w dawnej świetności, w dolnych partiach parku, dziele sztuki artystów ze dworu Piotra I, biją, jak dawniej, setki fontann. Od zalewu kanał, wysadzony kilkunastu fantastycznych kształtów fontannami, prowadzi do stóp pałacu, do balustrady pięknej terasy przed pałacem. Tędy niegdyś podpływały zwycięskie flotylle Piotra I, żeby złożyć hołd twórcy floty rosyjskiej, założycielowi miasta na błotach, założycielowi nowoczesnej Rosji.



Na miejscu, gdzie znajdował się szałas, w którym Włodzimierz Iljicz przebył lato 1917 roku, stanął granitowy szałas — pomnik

Niedawno przeczytałem w prasie, że w zrekonstruowanym pałacu, dokąd w dnie świąteczne przyjeżdżają tłumy Leningradczyków, znajdzie siedzibę wspaniała galeria malarstwa rosyjskiego. Peterhof stanie się przybytkiem sztuki, mającym mało równych sobie.

Schodzimy nad samą wodę. Zatrzymujemy się przy balustradzie. Tutaj błądził nieraz młody Puszkin. Może tu, a na pewno w atmosferze tego miasta ledwo rysującego się na prawym brzegu dźwigami portu, zrodziły się strofy jego wierszy i poematów o Rosji Piotrowej.

Ale to, co z tego ogromu wrażeń i przeżyć wzrusza najbardziej — to historia nowa, historia, z której wprost wywodzi się dzień dzisiejszy. Z otwartych przestrzeni zalewu wieje ostry, morski wiatr. Fale są groźne. Przez zalew wytkniętą drogą głębinną przemykają okręty ku portowi leningradzkiemu. Po lewej ręce, ledwo okiem sięgnąć, majaczy brzeg bohaterskiego fortu — Kronsztadt!

*

Resztę już znam tylko z książek i z teatru... W Moskwie przed paru dniami widziałem „Pociąg pancerny“ Iwanowa i „Burzę“ Bill-Biełocerkowskiego.

Rankiem przyjeżdżamy do Smolnego. W wylocie niedługiej, starej uliczki, spoza czarnych sztachet ogrodzenia, bieleje fasada pałacu. Przedstawiałem go sobie zawsze dużo okazalej. Po stopniach wchodzimy na ganek pałacu. Ilu dziejopisów i ilu malarzy ważyło się przedstawić Lenina przed Smolnym! Jesteśmy w sztabie rewolucji.

Witają nas towarzysze z Obkomu Partii. Wchodzimy do wnętrza; duża sień, wysokie, mroczne korytarze. Do rewolucji lutowej w tych murach mieściła się pensja dla szlachetnie urodzonych panien. Korytarze przypominają mroczne i ogromne budynki starych szkół. Dziś w Smolnym znajduje się obwodowy komitet partii. „Niezwykły to obkom — myślę głośno — skąd zaczęła się rewolucja“. Niespodziewanie potwierdza tę zaczętą myśl któryś z towarzyszy: „Lekcze rabotat‘. Stieny pomagajut“.

Mijamy ciemne drzwi pomieszczeń komitetu i kierujemy się do lewego skrzydła Smolnego, na drugie piętro. Tu w końcu korytarza — nr 73 — wejście do kwatery Lenina.

Pierwszy pokoik, obrócony teraz w niewielką salkę muzealną — to sekretariat Lenina. Pochylam się nad gablotą i z trudem odczytuję z fotokopii list Lenina do członków C.K., doręczony przez Krupską wieczorem 24 października. Dokument jedyny.

„Sytuacja jest w najwyższym stopniu krytyczna... Obecnie wszystko wisi na włosku... W żadnym razie nie zostawiać władzy w rękach Kiereńskiego i spółki do 25, w żadnym razie: zdecydować sprawę bezwarunkowo dzisiaj wieczorem lub w nocy...“

Tego samego wieczoru Lenin przybywa do Smolnego i obejmuje kierownictwo nad powstaniem. Sprawa jest zdecydowana. Nadszedł moment rozstrzygający. Ile naukowej precyzji w przewidywaniu wypadków, ile geniuszu było w samym wyborze momentu powstania. Dzisiaj za wcześnie, pojutrze będzie już za późno. „Przyjemniej i pożyteczniej przeprowadzać „doświadczenie rewolucji“, niż o nim pisać“ — mówił Lenin w posłowiu do przerwanej wydarzeniami Października pracy „Państwo a rewolucja“. Teraz każdy krok jest niezawodny, przygotowany całymi latami wytrwałej pracy. I nie wiadomo, co w te dni bardziej w Leninie podziwiać: genialnego naukowca, niezrównanego stratega, czy działacza państwowego.

Wchodzimy do pokoju, w którym żył i pracował, do roboczego gabinetu Lenina z Października 1917 roku. Wszyscy go znamy z obrazów i reprodukcji. Owalny stół, kanapa, nad nią kontakt, dwa fotele w białych pokrowcach — i Lenin na prawym fotelu ze skupieniem kreślący na kolanie jakieś słowa. Na stole stos gazet.

Nie wiem dlaczego zawsze wyobrażałem sobie, że to fragment wielkiej sali pałacowej. Tymczasem pokoik jest mały, skromny, przedzielony drewnianym przepierzeniem. Za tą ścianą dwa żelazne łóżka. Przy drugiej ścianie mały sekretarzyk, na nim staromodna lampa z zielonym abażurem. Pod szkłem fotokopie dokumentów, które powstały w tym pokoiku i — przeobraziły świat.

Nic tu prawie nie ma, co by pochodziło od Lenina — wyjaśnia nasz przewodnik. Pokoik dawniej należał do wychowawczyni pensji. Gdzież był czas, żeby tu cokolwiek zmieniać.

Przez dwie doby Lenin nie opuszcza posterunku. Z rana historycznego dnia 25 października, gdy wszystkie ważniejsze punkty miasta są w ręku czerwonych, na całą Rosję rozlega sie odezwa „Do obywateli Rosji“. Jak tu o tym momencie nie myśleć słowami Majakowskiego z poematu o Nim:

„Setkę
guberni
w mózgu swoim scalił,
dźwignął
z półtora
miliarda
ludzi.
Świat
w ciągu nocy
ważył na szali,
by go nad ranem zbudzić:
— Do wszystkich!
Do wszystkich!
Do wszystkich!
frontów
od krwi pijanych,
do wszystkich
przybitych trudem,
w niewolę
bogaczom oddanych. —
Władza radom!
Ziemia chłopom!
Pokój ludom!
Chleb głodnym!

Te petersburskie dnie walk ulicznych, dnie pierwszych dekretów i zjazdów — to najdramatyczniejsze chwile nowoczesnej historii. Z każdej prawie chwili tych dwu dni mamy dokumenty działania Lenina. Przechodzimy do dużej sali, gdzie przed kilku jeszcze miesiącami przed rewolucją odbywały się koncerty, bale, wieczory tańcujące dla panien z dobrych domów. Tu o 2.35 przemawiał Lenin na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Piotrogrodzkiej. Tegoż dnia w tej sali o 10.45 wieczorem Lenin otworzył II Ogólnorosyjski Zjazd Rad, który proklamował przejście całej władzy w stolicy i na prowincji w ręce Rad. Na tej sali po raz pierwszy inaczej zaśpiewano Międzynarodówkę: bój to jest nasz ostatni.

Oprowadza nas niewielki, łysy przewodnik. Przywykliśmy już do wielkiej sztuki całej armii przewodników, których spotkaliśmy w niemałej ilości zwiedzanych miejsc. W jego słowach uderza nas coś niezwykłego. To nie książkowa erudycja. — A wy, towarzyszu, co robiliście w Październiku? — ryzykujemy wreszcie pytanie.

— W Smolnym Lenina nie widziałem. Przyszedłem tutaj dopiero w maju 1918 roku, kiedy już Lenin wyjechał do Moskwy. Ale w rewolucji byłem od początku, tu, w Petersburgu...

Nad podium sali, w której odbywał się pierwszy „za socjalizmu“ Zjazd Rad wisi obraz: Lenin na tle Wołchowskiej elektrowni.

W parę dni później prasa ogłosiła, że pierwsza ukończona budowla komunizmu otrzymała imię Lenina. Czytałem ten komunikat już w Moskwie. Pomyślałem o pierwszych dekretach władzy radzieckiej, powstałych i ogłoszonych tu w Smolnym. Oto droga...

*

Co dzień na Placu Czerwonym przed Mauzoleum Lenina ciągnie się długa kolejka ludzi, sięgająca niekiedy aż do plant okalających Kreml. Nocą o 12, gdy jeszcze palą się światła okien w zamku, przy dźwięku kurantów z baszt kremlowskich odbywa się zmiana warty przed grobowcem Lenina. Reflektory z dachów domów koncentrują się na murach Mauzoleum. Przy ich potężnym potoku światła blednie nawet blask księżyca. Przychodziłem tu często o północy. Nigdy nie widziałem, żeby zmiana warty odbywała się na pustym placu.

Widziałem tu u wejścia do Mauzoleum robotników i kołchoźników z najdalszych stron Związku Radzieckiego. Widziałem delegację chińską. Widziałem Niemców i Murzynów. Ale kiedyś, gdy stałem o północy przed Mauzoleum, zobaczyłem grupę dzieci, małych dziewcząt z dalekiego Kazachstanu czy Tadżykistanu. W ich czarnych, skośnych oczach błyszczały łzy prawdziwego, dziecięcego wzruszenia.

Na basztach kremlowskich czuwają warty nigdy nie gasnących czerwonych gwiazd.

Tadeusz Drewnowski

ALEKSY SURKOW

* * *

By cały człowiek zbudził się i ożył,
Październikowa musiała przyjść burza.
Lenin nam ręce na barkach położył,
Ojcowskim wzrokiem w oczy nasze spojrzał.

Zaraz rozbłysły światłem pełnym lśnienia
Przestworza czasu aż do dna samego,
Jakbyśmy z Jego czytali spojrzenia
Swe własne losy i kraju naszego.

Jak gdyby z oczu spadła nam zasłona,
W mgłach zaświtały blaski nowych czasów,
Tak podróżnego w dal ocean woła
Poprzez wilgotne, chłodne mroki lasu.

I tak bezskrzydłym skrzydła wyrastają,
Kiedy wysokość przyzywa przestrzenią...
Zrozumieliśmy — to życiem się stało
W pomroce czasów dojrzałe marzenie.

przełożył Stefan Flukowski

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI *Przeł. ANATOL STERN*

ARTYKUŁ WSTĘPNY*)

Dość już
hołdowniczych
powitań!
Dość
próżniaczego
kiwania głową!
W niebezpieczeństwie jest
sztuki rzeczpospolita —
w niebezpieczeństwie jest dźwięk,
barwa,
słowo.
Słowo —
w pięści zaciska
piorunową minę!
A dziś po to
sepleni
głos poety,
żeby kłaniało się
zdarzeniom
słowo - kamerdyner,
żeby wlokło się słowo
w ogonie gazety.
Dość wam drżeć o swą skórę!
Strzegliście dość jej!
Wysforujcie się naprzód,
nie lękając się krytyk!
Przywołajcie ręką
ze szczytów przyszłości:
„Tutaj,
proletariuszu!
Na szczyty!"
Wyleźli
tacy
z wrzącej tłumów lawy,
że patrząc na nich,
człowiek
z krzesła zleci:
każdy
chciałby
swe brodawki nadstawić,
żeby uwiecznił go
pędzel stuleci.
Znów
własna koszula
bliższa jest ciała?
A w naszej pracy
przecież to jest nowe,
że w ogromie
który klasa ukształtowała,
nieważne jest,
co zrobili
ci lub owi panowie.
Różnorodne
są dusze nasze.
Grzmię w bitwie,
a w łóżku —
szepcę.
A my mamy
dla bitw i dla miłości —
marsze.
I niech tu człowiek
w takt marszu
do ukochanej drepce!
Dlaczego teraz
obce rzeczy
śpiewamy,
wypowiadamy się
ariami
Alfreda i Trawiaty?
Dla miłości
własne słowa
wymyślmy sami,
z serca zrobione,
nie z waty.
W latach głodu,
w zamieci jęku,
czyśmy słuchali
orkiestr filharmonii?
Nie,
swoim własnym,
barykadowym dźwiękiem
miedzianogłosy chór
syren
dzwonił!
Rewolucja
starzyznę
spowiła kirem.
Niech żyje pod strażą
muzealnych ogrodzeń.
Haseł,
aparatów filmowych,
syren,
nigdy
chałupnikom
oddać się nie zgodzę.
Nasza wiara
w komunizm
nigdy się nie zmniejszy.
Całego siebie
bez reszty
daj dziś mu!
I oceniaj
każdy
czyn dzisiejszy
jako krok
do elektrycznego,
maszynowego komunizmu.
Dość już tonąć
w chałupniczej gęstwie!
Dość starzyzny,
przemalowanej na nowo!
Federacja muz
jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie —
w niebezpieczeństwie jest dźwięk
barwa
i słowo!

1926

*) Tytuł rosyjski wiersza „Pieriedowaja pieriedowowo" — oparty jest na nieprzetłumaczalnej grze słów. Oznacza on „Artykuł wstępny przodującego (poety)".

LEON WUDZKI

Echo Października*)

Zebranie Rady Delegatów Robotniczych Poręby, wyznaczone na niedzielę 19 stycznia 1919 r., wywołało wśród robotników duże zainteresowanie. Wpłynęły na to zarówno wydarzenia polityczne w kraju, jak też pogarszające się z każdym dniem warunki bytu materialnego ludzi pracy. Wszystko to miało być tematem obrad RDR.

Niemniejsze zainteresowanie budziło zwołane na ten sam dzień ogólne zebranie członków porębskiej organizacji PPS. Zażądał tego telegraficznie CKR, zawiadamiając jednocześnie, że na zebranie to deleguje specjalnego przedstawiciela.

O zebraniu PPS krążyły rozmaite wieści. Jedna z nich głosiła, że na zebraniu tym przeprowadzone zostaną gruntowne zmiany w składzie komitetu partyjnego i że wielu członków zostanie zupełnie usuniętych z partii. Między innymi usunięci też mieli być Mierkiewicz Stach, Zaklicki i Gałczyński. Przewodniczącym przyszłego komitetu miał zostać Knuta, sekretarzem Skąpski. W rzeczywistości nikt nie wiedział, jakie są zamysły CKR-u i z czym wystąpi jego delegat.

Zebranie RDR wyznaczono na godzinę ósmą rano. Ludzi napływało dużo, w sali robiło się coraz ciaśniej. Przez otwierane często drzwi buchało mroźne powietrze i rozpływało się prędko po sali zimnymi prądami. W piecyku trzaskał trawiony szybko płomieniami węgiel, Rozgwar rósł coraz większy.

Wreszcie wstał przewodniczący Rady, Kędzierski, i zażądał, aby członkowie RDR zajęli miejsca w pierwszych rzędach ławek, za nimi dopiero publiczność. Potem oznajmił, że prezydium RDR, korzystając z obecności w Porębie członka byłego rządu, ministra Ciszewskiego, zaprosiło go do wygłoszenia wstępnego referatu na dzisiejszej Radzie o sytuacji politycznej w kraju.

Stach Zaklicki, jako członek Komitetu Wykonawczego RDR, zasiadł między innymi w prezydium.

Kędzierski siadł i podniósł się Ciszewski. Jedną ręką opierał się o blat stołu, drugą gładził łysinę. Jego o zapadniętych policzkach twarz miała w sobie coś ptasiego, tępego. Był zawsze tylko wykonawcą, myśleli za niego inni.

— Towarzysze! — zaczął i zrobił długą przerwę. Kiwnął głową w lewo, w prawo, jakby usiłował zrzucić z karku jakiś przygniatający go ciężar. Wszyscy oczekiwali w napięciu, że teraz powie coś ważnego.

— ...i towarzyszki! — dodał i znów dłuższa przerwa, kiwnięcie w lewo, w prawo. Wyjął chustkę do nosa i głośno w nią zatrąbił. — Nie potrzebuję wam chyba mówić, bo dobrze wiecie, w jak trudnych warunkach objęliśmy rządy. Przez kraj nasz przewalały się miliony ludzi ze wschodu na zachód, z południa na północ i z północy na południe. Kraj niesłychanie wyniszczony, wyczerpany wojną, a pomocy znikąd. Burzuazja zastosowała wobec naszego rządu bojkot, ani myślała o przyjściu z pomocą i zasileniu naszego pustego skarbu. Nie tylko odmówiła rządowi naszemu pożyczki, a stać ją było na to, ale nie chciała również płacić podatków. Sfery kapitalistyczne posunęły się nawet tak daleko, że potworzyły specjalne ekipy, które prowadziły w całym kraju usilną agitację, buntowały obywateli, aby nie płacili żadnych podatków.

— Słowem siąść i płakać — zakpił ktoś na sali.

Ciszewski zbył ten wykrzyknik milczeniem i ciągnął dalej. Między każdym niemal słowem robił długie przerwy.

— Tymczasem, gdy w skarbcu pustki, wydatki wzrastały z szaloną szybkością. Mogliśmy temu zaradzić przez wypuszczenie emisji nowych banknotów, ale nie jest to takie łatwe. Jest to bardzo skomplikowane. Bo żeby drukować pieniądze trzeba sprowadzić odpowiednie maszyny, porobić klisze, zdobyć odpowiedni papier wysokogatunkowy, a to wszystko wymagało też sporo czasu — kilku, a może nawet kilkunastu miesięcy. Mogliśmy zająć kapitalistom i paskarzom ich leżące w bankach wkłady, ale dałoby to nam około 30 milionów marek, a tymczasem na same roboty publiczne, które trzeba uruchomić, aby jako tako rozładować bezrobocie, trzeba co najmniej 200 milionów marek. Mogliśmy wprawdzie te pieniądze zdobyć przez zaciągnięcie pożyczki od kapitalistów zagranicznych, ale rząd ludowy nie chciał zaprzedać kraju zagranicznym lichwiarzom. Cóż było wobec tego robić? Nie mieliśmy innego wyjścia — trzeba było ustąpić i dopuścić do władzy innych ludzi, którym poznańscy bankierzy przyrzekli dać pieniądze.

— Trzeba było ich pocałować w tyłek, może by i wam dali — rozległ się spomiędzy publiczności zły głos jakiegoś robotnika.

Sala zahuczała od śmiechu. Kędzierski wstał i uderzając dłonią w blat stołu uspokajał.

— A co — rozłościł się Ciszewski — może mieliśmy tak zrobić jak w sowdepii? Represje, gwałt, rozstrzeliwanie pod ścianą...

— Wy wolicie, żeby nas rozstrzeliwali! — przerwał mu znów ten sam głos. — Krew burżujów cenicie wysoko!

— Cenimy krew każdego człowieka!

— Ale burżujów najwięcej!

— Nie przerywać, towarzysze, mówcy — przywoływał Kędzierski.

— To czego nam tu takie bzdury, koszałki-opałki opowiada? Cośmy dzieci, czy za głupców nas uważa?...

— Ja wiem — przyśpieszył tempo swojej mowy Ciszewski — wy wolelibyście, żeby tak jak w Rosji! Wam sowiety pachną! Ale na szczęście świnia nie dostała rogów...

Na sali rozległy się głośne protesty.

— Nie obrażać!

— Widzicie go, jaki mądry!

— Wiadomo, minister!

— Pachoł burżuazji!

Okrzyki mnożyły się ze wszystkich stron przepełnionej sali. Kędzierski na próżno walił pięścią w sttół i nawoływał do spokoju. Głos jego ginął w ogólnym, coraz bardziej namiętnym rozgardiaszu.

Ciszewski czekał. Cała jego postać miała w sobie teraz coś z drapieżnego zwierza. Jego głęboko osadzone, wypłowiałe oczka pełzały z nienawiścią po obecnych, jakby upatrując ofiarę do pożarcia. Z jego ruchów łatwo się było domyślić, że dusiła go bezsilna wściekłość.

Nagle wzburzenie ustąpiło i na sali zapanowała cisza. Ludzie zajęli znów swoje miejsca i spokojnie oczekiwali dalszego ciągu.

— Nie chcieliśmy, jak w Rosji, doprowadzić kraju do ostatniej ruiny, a klasy robotniczej do głodowej śmierci. Dlatego ustąpiliśmy. Ale ustąpiliśmy tylko chwilowo. Wkrótce wrócimy! I wtedy już z całą bezwzględnością przystąpimy do wykonania zadań, które sobie nakreśliliśmy teraz. Tak, wkrótce wrócimy!

Na tym zakończył swoje przemówienie i zajął miejsce przy stole. Kilka osób spośród jego wielbicieli klasnęło i zapanowała cisza, w którą wdarł się pojedynczy okrzyk z sali: — Wróci Jasio, wróci! — Zebrani wybuchnęli śmiechem. Kędzierski wstał i oznajmił, że otwiera nad referatem Ciszewskiego dyskusję. Pierwszy do głosu zapisał się Łabęda. Krępy, średniego wzrostu, stanął pewnie przed audytorium, zajrzał do trzymanych w ręku notatek i odczekał, aż się uciszy.

— Towarzysze! — rozpoczął spokojnie. — To, co przed chwilą usłyszeliśmy z ust towarzysza Ciszewskiego, potwierdziło całkowicie nasze przypuszczenia i utwierdziło w przekonaniu, że rząd ludowy ograniczył swoją rolę do nieustannych konszachtów z burżuazją, że pokornie żebrał u niej pomocy, że stał się ostatecznie narzędziem i parawanem kontrrewolucji polskiej. W masy robotnicze nie wierzył, wykorzystywał je tylko dla swych brudnych celów. Interesy klasy robotniczej rząd ten zdradzał pod każdym względem.

— To nieprawda! — przerwał Ciszewski.

— To fakt, który sami tu nam potwierdziliście. Rząd ten, zasłaniając się maską socjalizmu, wespół z endekami i całą reakcją polską wzywa pomocy imperialistycznych rządów koalicji, wypowiada wojnę rewolucyjnej Rosji, pcha polskie wojska na Litwę, Białoruś, Ukrainę i — rzecz niesłychana w historii — dopuszcza do ohydnego, skrytobójczego mordu na delegatach robotniczego rządu rewolucyjnej Rosji.

— Hańba! — zakrzyczano na sali.

— Z drugiej strony — ciągnął dalej Łabęda — rząd ten, umiejętnie szermując hasłami rewolucyjnymi, tłumił ruch rewolucyjny robotników polskich z całą bezwzględnością. Morduje i zapełnia robotnikami więzienia, ogłasza stany wyjątkowe, sądy doraźne — wszystko, aby ułatwić burżuazji dorwanie się do władzy. Cel swój osiąga — endecy z Paderewskim na czele bez żadnych trudności luzują rząd ludowy, wszystko odbywa się z zachowaniem obustronnej kurtuazji. Centralny Komitet Robotniczy PPS, za plecami swoich robotniczych dołów, powolny we wszytkim Piłsudskiemu, wszystko zrobił, co było w jego mocy, aby ułatwić reakcji drogę do władzy.

— To potwarz! — wtrącił znów Ciszewski.

— Wal, Józiu! Pokrop go!

— Może zrozumie nareszcie! — odezwały się głosy.

— Potwarz, powiadacie? To dam mały przykład. Jak wszyscy, towarzysze, wiecie, w nocy z czwartego na piąty stycznia grupa endeckich działaczy spod znaku księcia Sapiehy dokonała tak zwanego zamachu stanu. Aresztowała kilku ministrów rządu ludowego, chciała też podobno porwać Piłsudskiego. Zamach nie udał się.

— Szkoda! — Na sali rozległy się śmiechy.

— Niechby się pożarli!

— A tak, tylko kłopot z nimi! — padały okrzyki z sali.

Łabęda wsunął lewą rękę do kieszeni marynarki, prawą oparł na brzeżku stołu. Na jego zaciętą gniewem twarz wystąpiły rumieńce.

— Tej samej nocy — ciągnął dalej, gdy na sali uspokoiło się — Piłsudski wziął górę, zamachowcy z Januszajtisem dostali się do ula. W tym czasie, jak wiecie, panował stan wyjątkowy ogłoszony dekretem rządu Moraczewskiego, oraz obowiązywały sądy wyjątkowe. Co się w takim wypadku robi z zamachowcami? — pytał Łabęda, akcentując mocno każdą sylabę.

— Pod sąd i na szubienicę!

— Albo pod ścianę!...

— Tak by wypadało — pokiwał głową Łabęda na znak zgody. — Ale tu załatwiono sprawę po rodzinnemu...

— Kruk krukowi oka nie wykole!

— Ot, dranie!

— Jeszcze razem popili pewnie!

— Może — odpowiedział Łabęda. — W każdym razie po paru dniach wszystkich zamachowców uniewinniono i wypuszczono na wolność, a w dziesięć dni potem oddano im nawet władzę — niech porządzą, to się prędzej uspokoją. (Śmiechy). Taka sobie burza w rodzince burżuazyjnej. A tymczasem ten sam rząd — głos Łabędy stopniowo twardniał — taki miłościwy i wyrozumiały dla reakcjonistów, ściga, aresztuje i morduje działaczy robotniczych! Ci sami ministrowie...

—Krwawe psy burżuazji! — huknął ktoś basem na sali.

— Hańba im! — Po sali przetoczył się groźny pomruk. Każde słowo Łabędy potęgowało napięcie.

— Pytam się więc — Łabęda rzucił nienawistne spojrzenie w kierunku Ciszewskiego — przeciw komu i dla czyjego dobra ci sami ministrowie, l u d o w e g o r z ą d u m i n i s t r o w i e — wyskandował — wprowadzili stan wyjątkowy i sądy doraźne?

— Wiadomo, przeciw robotnikom!

— Żeby chronić reakcję! — padły odpowiedzi.

— Tak jest, towarzysze! To jest jasne jak słońce! I wy, towarzyszu Ciszewski, którzy dobrze o tym wiecie, bo braliście w tym udział, śmiecie tu mnie, robotnikowi, zarzucać potwarz!

— Ja sam jestem robotnikiem — odpowiedział Ciszewski.

— Widać to! — rzucił ktoś z sali głosem pełnym ironii.

— Byliście — Łabęda z trudem tłumił rozsadzające go wzburzenie. Głos drżał pogardą. — Byliście — powtórzył. — Ale przestając ciągle z burżuazją zatraciliście zupełnie instynkt klasy robotniczej...

— To oszczerstwo — krzyknął Ciszewski.

— To fakt! Zatraciliście wszystkie cechy robotnika! Złączyliście się z burżuazją we wspólnej nienawiści do bolszewików! Razem z burżuazją szczujecie na bohatersko zmagającą się klasę robotniczą Rosji, spotwarzacie ją i rzucacie oszczerstwa! Zdradziliście tych, którzy wam zaufali — robotników! Występujecie przeciw rewolucji, staliście się razem z górami PPS wrogami rewolucji! Zbezcześciliście pamięć i krew tych, którzy ginęli w imię rewolucji, z ostatnim okrzykiem na ustach: niech żyje rewolucja! Zbezcześciliście śmierć Okrzei, Barona...

— Milczeć, to nie do was należy! — zerwał się z miejsca Ciszewski i zrobił krok w stronę Łabędy.

Na sali zrobił się rumor. Większość podniosła się z miejsc.

— To ty milczeć, pachole burżuazyjny!

— Wielki minister!

— Psi pociotek!

Kędzierski walił pięścią w stół i nawoływał do spokoju. Pozostali członkowie prezydium rozpłynęli się po sali i mitygowali co najgoretszych, którzy rwali się w stronę Ciszewskiego. Łabęda stał spokojnie i czekał. Na jego wysokim czole świeciły kropelki potu. Wreszcie wyczuwszy odpowiedni moment wyciągnął rękę i zaczął mówić podniesionym głosem. Pierwsze słowa ginęły jeszcze w ogólnym hałasie, ale w miarę jak mówił podniecenie opadało, ludzie zajmowali miejsca i słuchali.

—...maskując się jako socjaliści pociągnęliście za sobą robotników, aby ich następnie zdradzić. Popełniliście zbrodnię! Ale przyjdzie czas, że spotka was za to odpowiednia zapłata! — przy ostatnich słowach pogroził pięścią w stronę Ciszewskiego. Ciszewski nie wytrzymał nerwowo. Zerwał się z miejsca czerwony jak burak i roztrzęsionym z nienawiści głosem krzyknął:

— Tylko tu bez grożenia!

— Przyjdzie czas — będziemy tłuc, nie grozić! — odpowiedział Łabęda.

Na sali zahuczało od braw i okrzyków.

— A to mu dał! —

— Na obydwie łopatki go rozłożył.

Po Łabędzie zabierało głos kilku delegatów. Wszyscy wykazywali lub starali się wykazać bezsens paktowania z burżuazją i nawoływali do zaostrzenia walki aż do zwycięstwa. Wyrażali przy tym pełne uznanie dla bohaterskich zmagań proletariatu w Rosji i byli zgodni z Łabędą, że tylko w solidarnej walce z proletariatem Rosji może także odnieść zwycięstwo proletariat polski.

Przed audytorium wyszedł Skąpski. Swoje przemówienie zaczął od szkalowania rewolucji rosyjskiej. Często używał, podobnie jak Ciszewski, słów: „sowdepia", „czerwony terror", „żydokomuna" — ginęły one jednak w ogólnym hałasie wzburzonych na sali i nie chcących go słuchać robotników. — My nie chcemy — krzyczał na całe gardło — żeby u nas tak samo jak w sowdepii rządzili czerwoni komisarze. Ci, co tego chcą, popełniają zdradę, pracują na szkodę młodego państwa polskiego za moskiewskie pieniądze!

Po ostatnich słowach Skąpskiego na sali zahuczało od protestów. Wszycy prawie poderwali się z podniesionymi do góry pięściami.

— Prowokator!

— Sprzedawczyk!

— A ile tobie płaci burżuazja!

— Precz z nim!

Kawał drewna zawirował w powietrzu i upadł tuż pod nogi Skąpskiemu. Całe prezydium uniosło się z miejsc i też groźnie gestykulowało przeciw mówcy. Oczywiście prócz Ciszewskiego. Skąpski blady ze strachu wycofał się za prezydium. Wzburzenie na sali rosło, potęgowało się.

— Precz z nim!

—Wyrzucić go z sali!

I oto zachodzi nie notowane w historii Poręby wydarzenie. Dwóch robotników podchodzi do Skąpskiego i — przy akompaniamencie wrogich pod jego adresem okrzyków — wyprowadza go z sali i wyrzuca za drzwi. Wtedy dopiero sala jakby zachłysnęła się własnym krzykiem — nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Wszyscy z zapartym oddechem oczekiwali, że nastąpi coś nadzwyczajnego. W ciszę wdziera się głos Kędzierskiego. Kędzierski mówi spokojnie, cicho, ale wszystkim wydaje się, że krzyczy.

— Dyskusja została wyczerpana. Dla odczytania wspólnej rezolucji udzielam głosu towarzyszowi Mierkiewiczowi.

Napięcie minęło. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Rezolucja składała się z dwóch części: politycznej i ekonomicznej. Gdy Mierkiewicz doszedł do miejsca, w którym była mowa o tym, że porębska Rada Delegatów Robotniczych solidaryzuje się z proletariatem międzynarodowym i że „tylko w bratnim sojuszu ze zwycięsko kroczącym naprzód proletariatem sowieckiej Rosji i rewolucyjnym proletariatem Niemiec, krwawo zmagającym się z rządami Scheidemana, widzi oparcie w swej walce i gwarancję zwycięstwa proletariatu polskiego", wstał wzburzony Ciszewski i zażądał głosu w sprawie formalnej.

— Głosu udzielę towarzyszowi po odczytaniu w całości rezolucji — odpowiedział Kędzierski spokojnie, nie podnosząc się wcale z miejsca.

— W sprawie formalnej! — krzyknął Ciszewski.

— W żadnej sprawie nie wolno przerywać w środku.

— Wobec tego stanowczo protestuję! Protestuję przed kładzeniem pod tym, co tu słyszę, podpisu PPS.

— Nie zapominajcie, towarzyszu, że tu jesteście tylko gościem. Protestować w tej chwili mogą tu tylko członkowie porębskiej Rady...

Kędzierski jeszcze coś mówił, ale słowa jego zginęły w szumie oklasków. Ciszewski zmiął trzymanego w ręku papierosa, rzucił z mocą o ziemię i narzuciwszy płaszcz na ramiona, czapkę na głowę, ruszył w stronę drzwi.

Po rannych wydarzeniach zainteresowanie wieczornym zebraniem PPS wzrosło niesłychanie. Nie było chyba ani jednego członka partii, który by nie przyszedł. Organizacja porębska była jeszcze duża, liczyła kilkuset członków. Punktualnie o siódmej sala była już wypełniona.

Ciszewski rozmyślnie spóźnił się nieco, zrzucił prędko palto i od razu stanął za prezydialnym stołem, przy którym nie było prócz niego żywej duszy. Potem podszedł do siedzącego w pierwszym rzędzie Skąpskiego, poszeptali o czymś między sobą, i znów wrócił na dawne miejsce. Wyjął papierośnicę, zanabił, otoczył się kłębami dymu i zaczął szukać czegoś po kieszeniach. Wreszcie wyciągnął z bocznej kieszeni palta, które leżało na krześle, jakiś papier, rozłożył na stole, wyprasował dłonią. Robił wrażenie człowieka, który stanął nagle na rozdrożu i nie może zdecydować, w którym się udać kierunku. Tymczasem na sali napięcie rosło z sekundy na sekundę.

Wreszcie Ciszewski przywołał Skąpskiego i wskazał mu miejsce przy stole obok siebie. Skąpski siadł i też rozwinął jakieś papiery. Potem wyciągnął z bocznej kieszonki ołówek i pilnie coś zaczął zapisywać.

— Towarzysze! — zdecydował się wreszcie Ciszewski. Wszyscy wciągnęli powietrze i zamienili się w słuch. Ciszewski swoim zwyczajem kiwnął głową w lewo, w prawo. Słowa poprzedzane skomplikowaną gestykulacją padały rzadko, poród ich odbywał się w ciężkich mękach. Po prostu żal patrzeć. — Zanim przystąpimy do wyboru prezydium, chcę was krótko poinformować, z czym tu przyjechałem i dlaczego. Poręba, to mój stary okręg, znałem ją dobrze i nie chciałem wierzyć, kiedy przed kilku tygodniami towarzysz Malinowski, po wizycie tu u was, komunikował w Centralnym Komitecie, że tu rozpanoszyło się niesłychane warcholstwo, że nawet prezydium tutejszego Komitetu wyłamało się całkowicie spod dyrektyw Centralnego Komitetu i łamie statut partyjny. I dlatego broniłem i torzysza Zaklickiego, i Mierkiewicza, i wielu innych towarzyszy, i obroniłem przed usunięciem z partii. Stanęło ostatecznie na tym, że Centralny Komitet postanowił tylko zawiesić i odwołać cały porębski Komitet i na jego miejsce mieliśmy dziś przystąpić do wyboru nowego. Dzisiej

(Dokończenie na str. 7-ej)

*) Fragment II tomu powieści „Jutro będzie lepiej", który ukaże się wkrótce nakładem „Książki i Wiedzy".

MARTIN YOUNG

LIST Z ELLIS ISLAND

Przesyłam Wam list Martina Younga, mego amerykańskiego przyjaciela. Autor listu przybył do USA mając lat 15 i od młodości był czynny w ruchu robotniczym, wśród włókniarzy, hutników, farmerów, ostatnio wśród robotników transportu. Aresztowany został 26 października 1951 r. i wtrącony do więzienia na wyspie Ellis, położonej u wybrzeży miasta New York. Na zlecenie generalnego prokuratora Stanów Zjednoczonych i trzymany jest bez prawa złożenia kaucji.

Życzeniem mego przyjaciela jest, by list jego został w Polsce opublikowany Czynię to z pewnym niepokojem, ale nie mam prawa odmawiać prośbie uwięzionego towarzysza.

Bolesław Gebert
redaktor „Głosu Pracy"

Drogi Billu!

W mojej sprawie nie zaszły żadne zmiany. Wciąż jeszcze mam ten wątpliwy zaszczyt, iż jestem pierwszym w Ameryce człowiekiem, któremu ze względów politycznych odmówiono złożenia kaucji i którego aresztowano, nie oskarżając go nawet o popełnienie jakiegoś określonego przestępstwa. Na mocy uchwalonej niedawno przez Kongres ustawy McCarrana władze mogą trzymać mnie w więzieniu aż do śmierci. Bardzo to nieprzyjemna perspektywa, nad którą mogę tu rozmyślać; jest to kara nałożona przez klasę rządzącą, która postradała zmysły w swym szale zawojowania świata.

Bardzo to znamienny fakt, że członek Kongresu Smith ze stanu Virginia, autor ustawy pozwalającej na kontrolowanie zapatrywań i myśli obywateli amerykańskich, był tym, który na ostatniej sesji Kongresu wniósł projekt ustawy zabraniającej strajków w tak zwanym przemyśle obronnym. Wprowadzenie w życie tej ustawy uniemożliwiłoby całkowicie jakąkolwiek działalność amerykańskich związków zawodowych. Wszystko stało się tak, jak to przewidział nasz ruch. Najpierw wyjmuje się spod prawa i pakuje do więzienia komunistów, a potem resztę zwolenników ruchu robotniczego. Najpierw prześladuje się Amerykanów obcego pochodzenia, a potem ataki reakcji obejmują już wszystkich Amerykanów, bez względu na ich miejsce urodzenia, pochodzenie narodowe, czy przynależność partyjną.

Akcja przeciwko ludziom urodzonym poza granicami USA prowadzona bez przerwy daje się szczególnie we znaki marynarzom. Mimo planu Marshalla i wojny koreańskiej transport morski się zmniejszył i tysiące marynarzy znalazło się bez pracy. Najlepszy sposób pozbycia się marynarzy obcego pochodzenia to ich aresztowanie i deportacja, stosowane wbrew amerykańskiemu i międzynarodowemu ustawodawstwu morskiemu, gwarantującemu prawo pobytu w stanach Zjednoczonych przynajmniej przez dwadzieścia dziewięć dni.

To, co teraz opowiem, z pewnością cię zainteresuje.

W czerwcu marynarze obcego pochodzenia zaczęli przybywać masami do więzienia na Ellis Island. Zapytałem przy okazji urzędnika imigracyjnego, dlaczego aresztuje się teraz tylu marynarzy. Bez żadnych skrupułów, bez cienia wstydu oświadczył mi, że czerwiec jest końcem roku budżetowego w ich departamencie, a w lipcu Kongres przyznaje im nowe fundusze na rok 1952-53. Zdaje się, że Amerykańskiemu Departamentowi dla Spraw Imigracji pozostało jeszcze kilka milionów dolarów z przyznanych w budżecie pieniędzy. Chodziło więc o to, w jaki sposób wydać te pieniądze, ponieważ, jak mi powiedział ów urzędnik, „jak będziemy wyglądać przed Kongresem, jeżeli przyznane pieniądze nie zostaną wydane. Mogą sobie jeszcze pomyśleć, że nie pracujemy, jak należy". Poza tym, jak mówił, „Kongres może obciąć nam kredyty na następny rok". Dlatego też więcej aresztowań, więcej deportacji. Teraz opowiem Ci jak aresztuje się marynarzy. Wiedziałem o tym sam, ale urzędnicy jeszcze mnie w tym utwierdzili.

Agenci FBI i inspektorzy imigracyjni przeprowadzają obławy w porcie, wpadają do barów i restauracji, dokąd często przychodzą marynarze w poszukiwaniu pracy, lub przyjaciół, i aresztują ich bez żadnego powodu i bez nakazu aresztowania. A czy wiesz, jak się aresztuje marynarza obcego pochodzenia w dniu 8 czerwca, mimo iż posiada on dokument wydany przez władze amerykańskie, który wyraźnie stwierdza, że marynarz ten ma prawo przebywania w Stanach Zjednoczonych do 21 czerwca?

To sprawa bardzo prosta. Inspektor imigracyjny bierze pióro i zamazuje cyfrę 1, aby nadać jej wygląd przecinka, po czym zwraca się do marynarza i mówi: „Twoje pozwolenie jest ważne tylko do 2-go czerwca, a ponieważ aresztujemy cię 8 czerwca, najlepszy to dowód, że przebywasz w naszym kraju nielegalnie". Po zaaresztowaniu marynarza zabiera mu się sfałszowany dokument i gdyby nawet chciał złożyć skargę w sądzie, biedny chłop nie ma żadnych dowodów, że został bezprawnie aresztowany.

Są i inne metody aresztowania. Na przykład osoba obcego pochodzenia, zamieszkała w Stanach Zjednoczonych od wielu lat, wzywana jest do Okręgowego Urzędu Imigracyjnego na Columbus Ave 70 w New Yorku (znasz ten dom, to niedaleko 63-ej Ulicy, o jeden blok dalej niż Związek Zawodowy Pracowników Transportu, gdzie pracowałem wiele lat, jako aktywista). Gdy tylko osoba taka zjawia się w urzędzie, jest natychmiast aresztowana, nawet bez nakazu aresztowania i odstawiona na Ellis Island. A tymczasem rodzina i przyjaciele szaleją z niepokoju, nie wiedząc, gdzie ten ktoś zniknął. Aresztowanemu nie wolno bowiem z nikim się komunikować, a on nie wiedząc, że czeka go aresztowanie, nie zapewnił sobie oczywiście adwokata.

Widzisz Bill, tak to się dzieje dzisiaj w Ameryce. W taki to sposób niweczą konstytucyjne prawa narodu nasi opętani wojną i bombą atomową maniacy. I we wszystkich tych aktach imperialistycznej represji kryją się przyczyny ekonomiczne. Wielu marynarzy obcego pochodzenia ulega wypadkom na pokładzie i choruje. Na mocy ustawy, mimo iż jest ona bardzo ograniczona, marynarz taki ma prawo do odszkodowania i leczenia szpitalnego. Aby uniknąć konieczności wypłacenia odszkodowania marynarzowi, który zachorował, lub poniósł obrażenia, towarzystwo okrętowe zwraca się do Amerykańskiego Urzędu Imigracyjnego z prośbą o aresztowanie go, jako „wichrzyciela" i „element wywrotowy". Urząd chętnie godzi się na wyświadczenie tej przysługi, marynarz zostaje aresztowany, a następnie deportowany. W międzyczasie jego podanie o odszkodowanie, czy też należny mu zasiłek chorobowy idzie w zapomnienie i marynarz zostaje ograbiony z tego, co mu się prawnie należy.

W wyniku takiego postępowania siedzi wraz z nami w więzieniu na Ellis Island wielu chorych i okaleczałych marynarzy. Wielu z nich wyciągnięto nawet wprost ze szpitala, zanim wygoiły się ich rany po operacji wyrostka robaczkowego. Niektórzy cierpią na gruźlicę, jakiej nabawili się na pokładzie, inni mają złamane ręce, nogi, żebra... Ludzie ci pozostaną na całe życie kalekami i wypędzi się ich z Ameryki, zanim zdołają wydobyć te kilka nędznych dolarów, które im się słusznie należą od właścicieli okrętów. Widzisz więc, ile korzyści przynosi deportacja i prześladowanie ludzi obcego pochodzenia.

Jeśli masz cierpliwość słuchać — a wiem, że tak — opowiem Ci jeszcze więcej. Wypadek, o którym będę mówił, wyda Ci się nieprawdopodobny, niemniej jednak jest prawdziwy. Rozmawiałem z więźniem, któremu się to przydarzyło.

Kilka miesięcy temu przyjechał do Ameryki pewien Grek, aby studiować na jednym z naszych uniwersytetów. Ani obecny rząd grecki, ani nasz własny Departament Stanu nie mieli nic przeciwko niemu, rozumiesz więc, że jego zapatrywania polityczne były „właściwe". Zgodnie z ustawodawstwem amerykańskim cudzoziemiec studiujący w Ameryce musi utrzymywać się z własnych funduszów. Okazało się jednak, że temu właśnie studentowi zabrakło pewnego dnia pieniędzy. Przyjął więc pracę pomywacza w jednej z licznych restauracji greckich. Za kilka godzin pracy dziennie otrzymywał jako wynagrodzenie — obiad.



rys. B. I. Prorokow
z cyklu: w Ameryce

Amerykański Urząd Imigracyjny zwąchał pismo nosem i pewnego dnia dwaj inspektorzy urzędu zjawili się w restauracji i przyłapali studenta na zmywaniu naczyń, albo, jak my to nazywamy, na łowieniu pereł. Grek błagał, aby go nie aresztowano. Tłumaczył, że pracuje dopiero kilka dni, że nie jest to zajęcie stałe i regularne, nie pozbawia więc w ten sposób żadnego rdzennego Amerykanina możliwości zarobkowania i tym samym nie narusza podstaw amerykańskiej kapitalistycznej ekonomiki. Obiecywał, że nigdy już nie zanurzy swych niegodnych cudzoziemskich greckich rąk w amerykańskiej misce do zmywania naczyń.

Zdaje się, że błagania studenta zmiękczyły serce jednego z inspektorów, który skłonny był pozostawić go na wolności. Jednakże serce drugiego inspektora nie było tak przesiąknięte życzliwością dla ludzi. Był twardy jak kamień. Nie chciał ustąpić i obstawał przy aresztowaniu studenta. „Dobry" inspektor starał się jednak go wybronić i wreszcie zaproponował swemu koledze zdanie się na los szczęścia. Rzucą w górę pieniądz — orzeł, czy reszka? Orzeł—więzienie, reszka — wolność. Propozycja została przyjęta, wyjął więc z kieszeni monetę dziesięciocentową i podrzucił ją w górę. I jak myślisz, co się dzieje, gdy los nie sprzyja człowiekowi?

Oczywiście — orzeł!

Ale „życzliwy" inspektor w dalszym ciągu nie chciał się zgodzić na aresztowanie studenta, drugi też obstawał przy swoim. Zgodzili się wreszcie, że jeszcze raz będą losować i tym razem wynik będzie nieodwołalny. A więc raz jeszcze błyszczący pieniążek z wyrytą na nim miłą twarzą Roosevelta poleciał w powietrze, a siła przyciągania, która kazała mu spadać, niczym nie związana z sytuacją społeczną człowieka, miała zadecydować o losie, przyszłości i całym życiu młodego studenta greckiego. Pieniądz upadł i uważaj dobrze, Bill — znowu orzeł! Kiedy wyprowadzano studenta, surowy inspektor imigracyjny zwrócił się do niego mówiąc: „widzisz, nawet pieniądz mówi, że należy cię aresztować".

Bill, to nie wydarzyło się w średniowieczu, kiedy los człowieka zależny był wyłącznie od ślepych sił przyrody. Nie opisuję tu moralności, etyki i stosunków społecznych człowieka jaskiniowego. Miało to miejsce w tak zwanym cywilizowanym społeczeństwie dzisiejszej Ameryki, w roku 1952, w epoce atomowej, w Ameryce, która rości sobie pretensje do kierowania światem i która pragnie przekształcić socjalistyczną jego część na swój własny obraz i podobieństwo.

Nie piszę ci tego, Bill, z przyjemnością i zadowoleniem. Mówię ci o tym z wielkim bólem w sercu, z głębokim wstydem i przykrością. Pete i ja przyjechaliśmy do tego kraju jako małe dzieci. W Ameryce staliśmy się wyznawcami ideologii Marksa—Lenina, w czym nam dopomogły nasze własne doświadczenia i warunki życia w tym kraju. Kochamy gorąco lud amerykański, jego wielkie tradycje rewolucyjne, jego bohaterską walkę klasową, w której nieraz sami mieliśmy szczęście uczestniczyć. Zawdzięczamy wiele amerykańskiej klasie robotniczej, która wychowała nas, młodych imigrantów, na dojrzałych, odpowiedzialnych i uświadomionych klasowo działaczy proletariatu.

Po wysłuchaniu historii greckiego studenta nie spałem całą noc, ponieważ wszystko to było tak znamiennym dowodem ideologicznej i społecznej degeneracji i rozkładu amerykańskiego społeczeństwa kapitalistycznego w obecnym stadium jego rozwoju. Żal mi było młodego Greka, który przypisywał swe nieszczęście niezbadanym wyrokom spadającej z góry amerykańskiej dziesięciocentówki. Myślałem o mej młodości, o mych dwóch urodzonych w Ameryce synach, o szczęściu, jakim było dla mnie przyjęcie mnie dwadzieścia dziewięć lat temu do Ligi Młodych Komunistów, a następnie do Partii Komunistycznej, gdzie zapoznałem się z walką o socjalizm i postaciami takich ludzi, jak Ruthenberg, Debs, Foster, Lenin i Stalin. I ja, i moi greccy współtowarzysze w więzieniu uważaliśmy, że naszym obowiązkiem jest zajęcie się młodym studentem. Teraz czyta on o zabójstwie Belojannisa i z zapałem studiuje dzieła Stalina.

Bill, mógłbym opowiedzieć ci jeszcze więcej o naszym życiu w więzieniu, które jest tak doskonałym odbiciem dzisiejszej Ameryki. Mógłbym ci opowiedzieć, jak w więzieniu na Ellis Island trzyma się dzieci w jednych celach z homoseksualistami, z zatwardziałymi kryminalistami i ludźmi chorymi umysłowo. Mamy tu czternastoletniego murzyńskiego chłopca, o którym muszę ci opowiedzieć. Nazywa się Melvin Wright, pochodzi z brytyjskiej Afryki Zachodniej i przybył do Stanów Zjednoczonych jakieś cztery lata temu. Ojciec jego wrócił do Afryki, ale Melvin pozostał w Stanach Zjednoczonych z macochą i chodził do szkoły.

Po raz pierwszy zobaczyłem Melvina, jak czekał w kolejce w ambulatorium na przyjęcie przez lekarza. Zwrócił on moją uwagę, ponieważ tak bardzo odbijał od grupy wysokich, dorosłych mężczyzn, stojących koło niego. Wyglądał jak młode drzewko w starej, wybujałej puszczy. Spytałem go, dlaczego dostał się na Ellis Island i czy ma adwokata. Odpowiedział, że nie ma adwokata i że nie wie, dlaczego go aresztowano. Zanotowałem mu prędko nazwę pewnej organizacji murzyńskiej i radziłem, żeby tam napisał z prośbą o pomoc.

Po raz drugi spotkałem Melvina dopiero po kilku tygodniach, gdy naszą grupę przeniesiono do innej części budynku. A teraz opowiem ci o warunkach, w jakim znalazłem tam tego chłopca, i jego historię, którą sprawdziłem, i przekonałem się, że jest prawdziwa.

Pewnego dnia, gdy Melvin wracał ze szkoły (była to szkoła powszechna Nr 139 w Harlemie), około godziny wpół do czwartej po południu, podeszło do niego dwóch mężczyzn, odchylili klapy marynarek, pokazując swe znaczki agentów policyjnych, kazali mu podnieść ręce do góry, zrewidowali mu kieszenie i oznajmili, że jest aresztowany. Tego samego dnia przewieziono go na Ellis Island.

Melvin siedział w celi o piętro niżej z młodym Niemcem i jeszcze jednym starszym mężczyzną. W sąsiedniej celi trzymano wariatów, kryminalistów i innych przestępców. Najbliższy sąsiad Melvina był do gruntu zdegenerowanym homoseksualistą, o czym władze więzienne doskonale wiedziały. Ten homoseksualista przebierał się w suknie kobiece, malował policzki, wkładał biustonosze na piersi rozwinięte jak u kobiety i w ten sposób „zabawiał" innych więźniów. Upodobał sobie szczególnie młodych chłopców. Ten zboczeniec i degenerat moralny wzbudziłby odrazę w najbardziej nawet zepsutym człowieku.

Innego dnia znów chory umysłowo więzień wzniecił pożar w sąsiedniej celi, podpalając trzy materace.

Pomyśl, że wszystko to działo się nie w domu publicznym, czy w szpitalu dla umysłowo chorych. Jest to amerykańskie więzienie (oficjalnie nazywane przez władze „aresztem") znajdujące się pod opieką takiego stróża amerykańskiej moralności i praworządności, jak ministerstwo sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych — cóż za pełna ironii nazwa! W takiej to zdeprawowanej atmosferze przebywał czternastoletni chłopak murzyński i inne dzieci. Starałem się go przed tym ochronić; prosiłem mego syna, aby mu przysłał książki i zabawki. Mianowany przez rząd i Trumana prokurator generalny, wbrew istniejącym ustawom o więzieniu i aresztowaniu dzieci i małoletnich, rzucił Melvina Wrighta na pastwę losu. Niech sobie radzi, jak potrafi — bez szkoły, bez zabawek, bez rozrywek — chyba że będą to „rozrywki kulturalne", których dostarcza zdeprawowany zboczeniec, plujący homoseksualnymi bluźnierstwami.

Władze więzienne dowiedziały się, że próbuję uratować chłopca przy pomocy Paula Robesona i czym prędzej go deportowały.

Jak widzisz, Bill, problemy, z jakimi spotyka się więzień polityczny w amerykańskim więzieniu, to nie tylko kwestia czysto fizycznych wygód i możliwości przetrwania. My, którzy byliśmy wychowywani w duchu socjalistycznego humanizmu i amerykańskiej proletariackiej szlachetności, potrafimy nie zwracać nawet uwagi na to, że jesteśmy prawie zawsze głodni, że ze względów politycznych pozbawieni jesteśmy pomocy lekarskiej, że stale walą się na nas zniewagi i prześladowania. Ale to ciężko, bardzo ciężko przebywać w tym samym amerykańskim więzieniu z dziećmi.

To istna tortura patrzeć na dzieci maszerujące wraz z tobą pod strażą do stołówki i z powrotem do celi. Opiekowanie się dziećmi to przyjemność, lecz jak długo można znieść taki stan, kiedy wstaje się co noc, żeby przykryć rzucającego się we śnie chłopca i zgonić mysz skaczącą po jego łóżku. Patrzeć na ludzi chorych umysłowo i nerwowo, stłoczonych w jednym pokoju, trzymanych tam całymi tygodniami bez ruchu i bez świeżego powietrza, bez pomocy lekarza psychiatry, z zastrzykami morfiny jako jedynym środkiem leczniczym. To więcej niż można znieść, nie tracąc swej ludzkiej godności.

My, więźniowie polityczni, wiemy, dlaczego tu jesteśmy, potrafimy zachować nasze morale i nic nie jest w stanie podważyć naszej ufności w powszechne zwycięstwo sprawy socjalizmu. Nasza godność i wierność naszym zasadom doprowadza do szału dozorców więziennych. Czasami człowiek bezwiednie daje się opanować nastrojom i uczuciom. Na przykład w dzień, kiedy Eugeniusz ukończył szkołę, a ja nie mogłem być z nim razem i dzielić jego radości — było mi bardzo smutno i samotnie. Lecz wzruszenia te — znane każdemu człowiekowi—szybko mijają i wydają się małe w porównaniu z wielką walką o pokój i wolność i o to, żeby amerykańskiej klasie rządzącej nie udało się zrobić z mego Eugeniusza i ze wszystkich innych Eugeniuszy w Ameryce najmitów, rzucających bomby atomowe i bakteriologiczne na ludzi innych krajów. To, co boli tak straszliwie — to patrzeć na los innych i nie móc im pomóc.

Nigdy nie byłem w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, nigdy nie widziałem, jak gestapowcy siłą rozłączają rodziców z ich dziećmi, żeby móc sobie w pełni zdać sprawę, co to znaczy. Lecz właściwie nie jest mi to potrzebne — widzę teraz coś podobnego. A nawet sam to przeżywam. Doprawdy, Bill, warto zobaczyć, jak urząd imigracyjny i amerykańskie ministerstwo sprawiedliwości zabiera człowieka, który jest już dziadkiem, który przez całe swe życie mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych i deportuje go siłą do kraju, gdzie urodził się czterdzieści, lub pięćdziesiąt lat temu, lecz który teraz jest mu zupełnie obcy. Warto zobaczyć te rozdzierające sceny, kiedy brutalnie rozdziela się siłą rodziców i dzieci, mężów i żony Okrucieństwo, nieludzkie traktowanie ofiar i niewypowiedziane nieszczęścia, towarzyszące tym scenom, nie różnią się chyba tak wiele od metod ustroju hitlerowskiego. Słyszałem o ludziach, którzy popełniali samobójstwo, przecinali sobie żyły, wpadali w obłęd w przeddzień deportacji, a co za tym idzie rozbicia ich rodzin, a których wpychano jak bydło na czekające już statki amerykańskiej ochrony wybrzeża.

Opiszę ci scenę, której byłem naocznym świadkiem. Człowiek, którego miano wtedy deportować, był Włochem i przyjechał do Stanów Zjednoczonych jako marynarz wiele lat temu. Ożenił się z Amerykanką i miał z nią dzieci. Wieczorem — miał być deportowany nazajutrz rano — dostał ostrego ataku histerii. Nasz oddział położony jest w pobliżu więziennej izby chorych. Przeniesiono go tam i zaaplikowano mu zastrzyk morfiny. Ale nie umieszczono go w izbie chorych, lecz położono na łóżku pod naszymi drzwiami. Po chwili dostał ataku szału, dwaj dozorcy siedzieli na nim, żeby się nie rzucał. Krzyczał przez całą noc, wołając swe dzieci. Rano, gdy zbliżała się godzina deportacji, trzech silnych dozorców zawinęło w koce jego nagie ciało i dosłownie zawlekli go, jak worek, na czekający statek. Bill, i ty, i ja zetknęliśmy się nieraz z brutalnością policji, widzieliśmy krew robotników amerykańskich przelewaną w walce o swe prawa. My również byliśmy nieraz ofiarami tych brutalnych metod. Lecz do śmierci nie zapomnę tej sceny deportacji, będę o niej opowiadał mym synom i mam nadzieję, że oni z kolei opowiadać będą o niej swoim dzieciom.

Albo sprawa robotnika, który urodził się w Holandii, mieszkał w Ameryce dwadzieścia siedem lat, ma żonę Amerykankę i pięcioro dzieci. Jego najstarszy syn walczy teraz w szeregach armii amerykańskiej na Korei. Siedział na Ellis Island przeszło sześć miesięcy, lecz o deportacji uprzedzono go na cztery godziny przed terminem. Nie mógł nawet pożegnać się z dziećmi Ja jednak pożegnałem się z nim i to w okolicznościach, o których ci opowiem.

Siedziałem na połamanym krześle w wielkiej sali, którą zajmowało około trzystu więźniów. Jeden z nich strzygł mi włosy. Ojciec żołnierza walczącego na Korei podbiegł do mnie i mówiąc mi o mającej zaraz nastąpić deportacji, wyciągnął z kieszeni marynarki fotografię swego syna. Wymachiwał mi przed nosem tą fotografią i krzyczał na cały głos: „Napisał do swego dowódcy, generała, pisał nawet do prezydenta Trumana, błagając o odwołanie mojej deportacji, a tymczasem za parę godzin już mnie tu nie będzie. Co się stanie z moją żoną i dziećmi?" Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł. Płakał i trudno było zrozumieć przerywane szlochaniem słowa. Nie odrywał oczu od fotografii syna, mrucząc wciąż to samo: „Mój synu, mój synu, nawet ty nie mogłeś mnie uratować."

Ze sposobu, w jaki to mówił, można było się domyślać, że fakt, iż syn jego walczył w Korei, jako żołnierz armii amerykańskiej, dawał mu absolutną pewność, że nie będzie deportowany i że wróci jakoś do swej rodziny. Cóż więcej może dać człowiek swej przybranej ojczyźnie, jak swego własnego syna? Czym bardziej dowieść może swego prawa do obywatelstwa amerykańskiego, lub przynajmniej prawa do stałego pobytu na ziemi amerykańskiej? A kiedy ta ostatnia nadzieja zawiodła, miał wrażenie, że świat wali mu się na głowę.

Dziwne było, że więźniowie, którzy podeszli usłyszawszy krzyki i płacz, nie okazywali żadnego zdziwienia ani współczucia. Jeżeli malowało się cośkolwiek na ich wymizerowanych twarzach, to raczej pewna doza cynizmu i pogardy. Biedny człowiek zwrócił się więc znowu do mnie, krzycząc: „Gdzie jest wasz Jefferson, Lincoln i Roosevelt? Gdzie jest teraz wasza amerykańska klasa robotnicza?" Może nie rozumiesz dobrze, o co mu chodziło.

Kiedyś słyszał on, jak tłumaczyłem kilku więźniom ustawy z 1798 roku, dotyczące obcokrajowców, i opowiadałem im o masowych deportacjach, które miały wówczas miejsce, o tym jak Tomasz Jefferson zwalczał te ustawy i jak je obalił, kiedy został prezydentem. Słyszał, jak mówiłem, że należy dostrzegać różnicę między Trumanem i monopolistami amerykańskimi a narodem amerykańskim, a zwłaszcza klasą robotniczą. Słyszał, jak opowiadałem o wspaniałych rewolucyjnych i robotniczych tradycjach w historii Ameryki i jak na podstawie własnych przeżyć mówiłem o solidarności amerykańskiej klasy robotniczej, o dowodach jej internacjonalizmu, aby wykazać, że obecna mania deportacji jest sprzeczna z interesami ludu amerykańskiego i odbywa się bez jego zgody. Krótko mówiąc słyszał on, jak występowałem w roli obrońcy honoru narodu amerykańskiego i domagałem się wiary i ufności w jego przyszłość i wrodzone mu poczucie sprawiedliwości, mimo wszelkich zbrodni popełnianych w jego imieniu.

Wszystko to wydawało mu się teraz zwykłą bzdurą, pustymi słowami bez żadnego znaczenia, nie mającymi nic wspólnego z jego obecną sytuacją i z deportacją grożącą mu za kilka godzin Serce jego pełne było gniewu i żalu Pod wpływem nienawiści i strachu jego oszalały mózg zdolny był zrozumieć jedynie takie idee, których skutkiem byłoby natychmiastowe wstrzymanie jego deportacji. W tej sytuacji wielka historyczna prawda, do głębi słuszna analiza marksistowska rozbijały się beznadziejnie o skałę osobistej tragedii i złamanego życia tego człowieka.

Po chwili milczenia jakiś pochodzący z Włoch robotnik, starszy już człowiek, niski, krępy, z dużą łysiejącą głową, zerwał się z miejsca i zawołał: „Mama mia, my przecież też należymy do amerykańskiej klasy robotniczej. Jefferson, Lincoln, Roosevelt nie żyją. Ale my — co zrobiliśmy przez te wszystkie lata zanim nas aresztowano?" Walił się pięścią po swej obrośniętej piersi, na której kołysał się medalik z wizerunkiem świętej patronki.

Zwracając się do Holendra, który miał być deportowany, powiedział: „Dzisiaj biorą ciebie, jutro wezmą mnie" i wyciągnąwszy z portfelu fotografie swej żony, dzieci i wnuków, uniósł te fotografie do góry, żeby wszyscy mogli je zobaczyć i krzyczał: „po czterdziestu latach pobytu w Ameryce!" Wtedy to właśnie usłyszałem historię, tę samą, którą tylekroć opowiadali mi inni — o tym, jak musiał wciąż płacić i płacić różnym macherom politycznym i nieuczciwym adwokatom, którzy obiecywali mu zalegalizować jego prawo pobytu, a kiedy już nie miał pieniędzy, pozostawili go własnemu losowi.

Potok słów, który popłynął z ust włoskiego emigranta, mógłby wzbogacić literaturę każdego języka. Postaram się odtworzyć choć część jego słów, równie głębokich jak pięknych, zwłaszcza jeśli chodzi o sposób, styl i uczucie, z jakim je wypowiadał.

Wyciągnął do Holendra, ojca amerykańskiego żołnierza, walczącego na Korei, swe wielkie, spracowane dłonie, prosząc o fotografię jego syna i patrząc na nią mówił:

„Jesteś strwożony i udręczony. Myślisz, że syn wyrzekł się swego ojca. Twój syn, żołnierz walczący w Korei, nie mógł cię uratować. Nie liczyłeś nigdy na chwałę i nagrodę. Syna trzeba wychować, dbać o niego, niech nie rośnie jak zielsko. Wiem o tym dobrze, sam jestem ojcem. Twój syn może tu powrócić ale jako trup. Pytasz, dlaczego ziemia ta jest tak bezlitosna, że wysiedla ojca żołnierza poległego na placu boju? Nie chcę cię ranić. Lecz może łzy

(Dokończenie na str. 7-ej)

JERZY POMIANOWSKI

SPRAWY RODZINNE DRAMATURGII

Z REŻYSERII REPERTUARU — NIEDOSTATECZNIE

Już się zdawało, że nie uświadczysz w tym sezonie na warszawskich scenach ani jednej pary zwykłych spodni, ani jednej choćby spodnicy uszytej według wykroju z „Przyjaciółki". Już się zdawało, że stołeczni aktorzy wrośli we fraki i robrony, że nie nadążają i nawet nie muszą się przebierać między premierami „Powrotu posła", „Fircyka w zalotach", „Wachlarza", „Zbiegów", czy „Króla i aktora" — chyba po to, żeby wdziać dla odmiany żupan albo delię. Prawie każdy z nas, warszawskich widzów, mógłby dziś z powodzeniem zdać egzamin z kostiumologii i historii obyczajów XVIII wieku.

Dajmy pokój żartom. Nie o kostiumy tu chodzi, lecz w tym sęk, że zbyt już długo nie widać było na scenach stolicy postaci i problemów spotykanych w naszym codziennym — a jednak niepowszednim — życiu, domagających się przy tym od pisarzy i teatru ważnej pomocy.

Jest skądinąd w terenowym teatrze dowodem słusznej ambicji i znajomości zasad płodozmianu jakiś — wyrwany niepamięci i wystawiony wśród pięciu innych sztuk — Zabłockiego „Balik gospodarski". Nieustający balik kostiumowy w teatrach stołecznych jest za to dowodem braku gospodarskiego oka w zakresie t.zw. reżyserii repertuaru, a także w dziedzinie wychowania teatru, wyposażenia aktorów i reżyserów w doświadczenie, konieczne do pełnienia najważniejszego ich obowiązku. Obowiązku — wobec współczesności. Także literackiej. Czy układ repertuaru nie ma znaczenia wychowawczego? Sądzę na przykład, że najlepszą szkołą aktywnego, rewolucyjnego stosunku do naszych zadań i dni jest — i dla teatru, i dla pisarzy, i dla widzów — radziecka klasyczna dramaturgia rewolucyjna. Tymczasem — pierwszy dramat z tego kręgu wystawia teatr warszawski dopiero teraz, osiem lat po zlikwidowaniu istotnych przeszkód, stojących na drodze takiej decyzji. Inny etap? Ależ „Sztorm" — protoplasta dzieł owego typu wystawiony był w ZSRR już w 1924 r., w nieskończenie trudniejszych warunkach politycznych i kulturalnych.

Obowiązek? Współczesność? Ba, wróble na dachu ćwierkają już o ucieczce naszych dramaturgów od tematyki współczesnej! Ani słowa — winy za to zjawisko nie wolno zrzucać tylko na t.zw. warunki obiektywne ani na trudności rzemiosła, choć te istotnie w dramacie są większe niż w innych dziedzinach literatury. Dramaturgowie zaciągnęli dług, którego nikt nie spłaci, prócz nich samych. Wielomiesięczny już brak nowych polskich dramatów współczesnych jest — w najlepszym nawet wypadku — dowodem takich mankamentów świadomości i charakteru naszych dramatopisarzy, które sprawiły, że wybrali oni linię najmniejszego oporu po pierwszych nieporozumieniach, niepowodzeniach i trudnościach, w jakie obfitował niedawny okres Festiwalu Sztuk Współczesnych. Są zresztą znaki na niebie i na ziemi świadczące o chwilowości, o mijaniu zjawiska owej „ucieczki".

SŁOWA NIE MAJĄ MOCY MAGICZNEJ

Zanosi się jednak na to, że epidemia owa — jak to aż zbyt często u nas bywa — wygaśnie, bynajmniej nie dzięki rozumnemu zapobieganiu ani właściwemu leczeniu; jeśli prędko minie, to jedynie dlatego, że organizm sam da sobie z nią radę. Dobrze to świadczy o żywotności i prężności naszego ruchu kulturalnego, ale nie oszczędza czasu, niepotrzebnych rozczarowań i wysiłków. Byłoby grubym spirytualizmem, gdybyśmy za niewątpliwy niedowład dramaturgii składali winę wyłącznie na świadomość pisarską i wierzyli w skuteczność samych tylko przygan i namów. Skądinąd zaś — mało zrobiono dla usunięcia warunków obiektywnych świadomość ową określających. (Trzeba od razu przypomnieć Majakowskiego, który wyśmiał takich, co to sądzili, że świadomość określa tylko „picie i żarcie"!) Jakież więc to warunki? Właśnie o to chodzi, aby je zbadać i zmienić. Tu będzie mowa o jednej zaledwie sprawie, dość wszelako istotnej.

Wydawca jest dla poety czy prozaika tylko pośrednikiem w stosunkach z odbiorcą. Dla dramaturga teatr jest czymś innym i większym: współautorem, potężnym partnerem twórczości. Co więcej — droga od rąk autora do odbiorcy jest dla dramatu grubo bardziej urozmaicona i pełna przygód niż dla każdego innego dzieła literackiego, z wyjątkiem chyba scenariusza. Dlatego może największy wpływ na wybór przez dramaturga tematu, epoki, stylu ma stosunek teatru do tych spraw. Stosunek rzeczywisty, widoczny w realizacji, nie zaś w okólnikach i wypowiedziach.

Zaraz po wojnie Leon Schiller zwrócił uwagę na fakt, że w teatrze naszym istnieje jeszcze residuum burżuazyjnych nawyków, tradycji i sposobów myślenia. Niewątpliwie, sporo się w ciągu kilku lat zmieniło, ewolucja jednak przebiega na tym polu wolno; cóż, każdy teatr, to nie jeden człowiek, to kolosalna machina. Tu potrzebna jest ofensywa. Aktyw ideowy wielu teatrów jest nieliczny i słaby. Jak się już o tym gdzie indziej pisało — nic nie pomoże dyskretne przemilczanie takiego stanu rzeczy przy którym nasz teatr — słusznie szczycący się świetną historią i wielką ilością znakomitych talentów — wciąż jeszcze nie spełnia należycie i sprawnie tych zadań wychowawczych i artystycznych, które spełniać winien w naszym ludowym państwie i do których poważnie już się zabrała nasza literatura. Przemilczanie niedomogów teatru przeszkadza również w zwalczaniu błędów naszej dramaturgii.

ZBIEGOSTWO W HISTORIĘ CZY UCIECZKA OD WSPÓŁCZESNOŚCI?

Z drugiej strony — krytyka dość gruntownie potrafiła zagmatwać sprawę owej ucieczki od współczesności. O milę trąci wulgaryzacją często słyszane twierdzenie, wedle którego sztuka jest aktualna jedynie wówczas, gdy dzieje się współcześnie. Bądźmy w dyskusji lojalni; trzeba uprzedzić, zbadać i odparować argumenty poważne, istotne. Owszem, to prawda, że czasem łatwiej można dać wymowny przykład, natchnąć widza, skłonić go do słusznego myślenia i działania, snując akcję sztuki dokoła spraw minionych i wypadków historycznych. Wydaje się zatem, że—odrzuciwszy drewniane schematy krytyczne — uznać trzeba aktualność dramatu, za sprawę problemu a nie tematu, sprawę celu nie zaś środków. Realistyczna sztuka socjalistycznego dramaturga musi mieć na celu realny, postępowy wpływ na współczesne sprawy naszego życia. Trzeba zabrać się do rozpatrzenia kwestii ucieczki od współczesności w tym właśnie świetle. Tu dopiero wyjdą na jaw liczne winy i braki naszych dramaturgów, tu jest pole dla krytyki rzetelnej, postulującej. Linia podziału wśród dramaturgów — a zresztą nie tylko wśród nich — przebiega między tymi, którzy chcą w naszym własnym, współczesnym, dzisiejszym życiu zmienić coś na lepsze, a takimi, co wzdragają się przed okazaniem pomocy widzowi w rozwiązywaniu trapiących go za progiem teatru zagadnień. Pierwsi mają, rzecz jasna, prawo do szukania żywych problemów i ważkich wskazań także na kartach historii. Byle — bez gry w znaczone karty, byle bez „aktualizacji" pod włos. Drugim — nic nie pomoże współczesny nawet temat, w wypadku gdy chodzi im tylko o bierne sprawozdanie, zwłaszcza — wykastrowane z konfliktów, lub gdy problem, idea ich dzieła tkwi korzeniami poza wszelkim czasem. Co prawda, są także tacy, którzy zagłębiają się w przeszłość tylko po to, aby dać rodzajową ilustrację do któregoś z rozdziałów podręcznika historii. Jest to zajęcie szkolarskie i często sprowadza się do naiwnej konkurencji ze *współczesnymi* dziełami klasyków owego okresu. Wbrew temu, co pisze Witold Zalewski („Przegląd Kulturalny" Nr 6, 8—14.X.1952 r.), nie ratuje sprawy, jeśli autor takiej sztuki historycznej stara się w najlepszej wierze dać ilustrację do podręcznika nawet naukowego, napisanego w myśl słusznych zasad materializmu historycznego. Dramat taki jest skuteczny społecznie tylko w tym stopniu, w jakim wszelka oświata sprzyja postępowi*). Dla sztuki to za mało! Dramaturg nie może ograniczać się do przyczynków. Dramat historyczny musi być wielką metaforą. Małostkowe, natrętne przenośnie i aluzje są za to zbędne. Sądzę, że nie wystarczy „prawdziwy obraz opisywanego czasu", jeśli widz nie znajdzie w nim rysów i pogłosów tego, co ludzi naszego czasu wzrusza, raduje i boli. Widz i tak będzie szukał analogii i wyciągał wnioski bardzo współczesne — celem autora być winno, aby wynik tych poszukiwań nie był dziełem przypadku!

Jasne więc, że sztuka współczesna, to taka, której autorowi zależało na aktywnym udziale w sprawach i troskach widowni, na wtrącaniu się do nich, jednym słowem. Któż jednak zaprzeczy, że droga prosta zazwyczaj krótsza jest i lepsza od okólnej? Któż zaprzeczy, zwłaszcza że w życiu naszym jest już mnóstwo problemów, i co więcej — ludzi, z gruntu innych, nowych, nie spotykanych w historii? Któż zaprzeczy, że właśnie w najistotniejszych sprawach dnia dzisiejszego nie na wiele się zdadzą same tylko analogie historyczne? Któż nie zgodzi się wreszcie, że człowieka z widowni najbardziej wzrusza to, co z jego własnym życiem się sprzęgło?

Nie wolno czynić sobie fetysza z tematu współczesnego, ale wolno było westchnąć z ulgą, gdy ankieta Sekcji Dramatu ZLP wykazała, że przeważająca większość jej członków - dramaturgów pracuje nad sztukami współczesnymi o tematyce z naszego życia wziętej. Świadczyłoby to, że przesilenie nastąpiło i zdrowy organizm zwyciężył. Tym ważniejsze więc, aby oczyścić tym sztukom przedpole. Skorzystać z doświadczenia Festiwalu — to znaczy uniknąć jego błędów. Mimo wszystko ludzie teatru nie czekali chyba z założonymi rękoma na nowy urodzaj sztuk współczesnych. Dobrze byłoby wiedzieć, jak dziś wygląda druga strona medalu, jakie są realne możliwości współpracy teatrów z dramaturgami, jaki jest charakter, jakie szanse i warunki tej niezbędnej pomocy, którą teatry na pewno już chcą okazać pisarzom, i jak zmienić na lepsze to, co właściwemu rozwojowi naszego dramatu zdołało na pewien czas przeszkodzić?

Właśnie dlatego dwie premiery sztuk współczesnych — „Kąkolu i pszenicy" Tadeusza Łomnickiego oraz „Sprawy rodzinnej" — Jerzego Lutowskiego wzbudziły zrozumiałe zainteresowanie, że były nie tylko pierwszymi kroplami rosy po długiej suszy, lecz także stanowiły coś w rodzaju odczynników lakmusowych, wedle których dałoby się sformułować odpowiedź na te pytania. Właściwe wnioski z tych premier mogłyby wyraźnie ułatwić masowy, nowy, spodziewany start naszej współczesnej dramaturgii.

ZWYKŁA SPRAWA

O sztuce Tadeusza Łomnickiego „Kąkol i pszenica"**) pisano już sporo w tonie aż nadto surowym, wiadomo jednak, że nie to jej najdotkliwiej zaszkodziło, co pisane było po warszawskiej premierze. Nie o to nawet chodzi, że krytyka była bezlitosna, ale o to, że przejawiła w stosunku do dalszej pracy początkującego dramaturga — beztroskę. Beztroska cechowała też okoliczności, w jakich do warszawskiej premiery doszło. Recenzenci błądzą przynajmniej już po niewczasie.

Sztuka wymagała baczniejszej uwagi z tej przyczyny, że powtórzone tu zostały wszystkie niemal błędy, charakterystyczne dla epoki aż nadto wszystkim pamiętnego Festiwalu Sztuk Współczesnych. Nie wierzę w fatum; jeśli błędy się powtarzają, to dlatego, że nie zostały w porę odważnie wykryte, napiętnowane i konsekwentnie wykarczowane.

Powtórzono więc typowy błąd, polegający na tolerancji wobec słabizny, byle zacnej w intencjach. Kilka lat temu można było nie bez racji tłumaczyć się troskliwością w stosunku do wątłych nawet, ale nowych z treści kiełków. Kto sądził, że odrę trzeba przechorować w pokorze ducha, że postęp przyjdzie bez walki, automatycznie, po prostu z biegiem czasu, tego omawiana premiera powinna przestrzec. Dobrze, ale sztuka Łomnickiego napisana była właśnie na Festiwal, nie powstała wczoraj! Jeśli zdecydowano się wystawić ją w Warszawie, to znaczy jednak, że przypisywano jej właściwości ważne dla dzisiejszej chwili. No i — sławetne nowe opracowanie! Zaznaczmy tedy, że nie wyciągnięto wniosków z prapremiery tej sztuki w teatrze kieleckim. Albo zachodzi tu typowy dla zasiedziałego stylu pracy teatralnej błąd ignorowania głosów krytyki, albo też głosy te — jeżeli w ogóle się rozległy — nie były odważne i szczere, co często się, niestety, w okresie Festiwalu zdarzało, i co mści się, jak widzimy, na autorze, na teatrze, na widzach, i na krytyce. Wydaje mi się, że (konieczne!) eksperymenty z pozycjami wątpliwymi przeprowadzać można i należy tylko w teatrach najmocniejszych ideowo i artystycznie, na zmienne zaś flukta szczęśliwego trafu puszczać wolno tylko dzieła bardzo żeglowne scenicznie, którym byle co zaszkodzić nie może. Tymczasem dzieje się u nas zwykle odwrotnie. Z reżyserią repertuaru znów nietęgo.

Młody autor napisał więc sztukę nie odbiegającą w zasadzie od poziomu większości utworów przysłanych niegdyś na konkurs. Ba, stwierdzić łatwo, że rzecz jest typowa, ale nie w sensie statystycznym; wyróżnia się nawet i swoją szczerą żarliwością, i jednoznacznością polityczną, i ambicją wystrzegania się schematu, i publicystyczną pasją. Za jedną państwowotwórczą mówkę obłudnego Wawrzka w akcie pierwszym można już Łomnickiemu wiele darować. Jednocześnie jednak sztuka nosi wszystkie cechy roboty pośpiesznej i powierzchownej. Rzut geometryczny — ważnego istotnie — tematu sili się zająć miejsce idei, plątanina fabularna zastąpić ma akcję, gromkie okrzyki i szerokie gesty starczyć mają za motywy postępowania bohaterów, zaś mieszanina nieokreślonego dialektu pejzańskiego z żargonem biurowym stanowić ma wyróżnik miejsca i środowiska. Zdążyliśmy się już jednak przekonać, że pośpiech i niedbalstwo, brak artystycznej troski i precyzji w robocie — kompromitują tylko zbożny zamiar i to tym nieuchronniej, im zamiar ów był zbożniejszy, a temat — ważniejszy politycznie. „Wiersz napisany źle, na dwóję, godzi w cel, który propaguje..." — powiedział Minkiewicz, nie przy tej, zresztą, okazji. Zdążyliśmy się już przecież dowiedzieć, że żywa, interesująca, zrozumiała dla każdego widza akcja jest czymś w rodzaju podwozia dla ładunku wychowawczego sztuki; podwozie musi być tym mocniejsze, im ładunek większy. Wiemy już chyba, że przeżycia i przygody postaci scenicznych nie mogą zależeć ani od danego z góry schematu, ani od kaprysu autora, lecz logicznie powinny wynikać z cech ich charakteru i stąd pierwszym obowiązkiem dramaturga jest wyjaśnić do końca motywy postępowania bohaterów sztuki.

Załóżmy, że sztuka w tej postaci nie bardzo zasługiwała na wystawienie. Przyjrzyjmy się jednak, w jaki sposób teatr starał się jej *pomóc*; to nas tu interesuje, bo krańcowy wypadek jaśniej, być może, wykaże, czego powinna się wystrzegać i na co powinna kłaść nacisk pomoc teatru dla sztuk na wystawienie zasługujących.

Stwierdźmy nasamprzód, że wysiłek Teatru Ludowego był znaczny. Zaproszono znanego reżysera. Wzmocniono zespół. Główną rolę oddano naprawdę wybornemu młodemu artyście — przypadkiem autorowi sztuki. Niewiele jednak to wszystko pomogło; bieda w tym, że zastosowano błędną metodę, która już tyle nabruździła. Reżyser nie żałował talentu i pracy, ale całą prawie uwagę skupił na tych tylko scenach i postaciach, które dawały właśnie *łatwe* pole do popisu. To tak, jakby budowniczy domu wszystkie środki zużył na tynkowanie fasady, na elewację, ornamenty, lustrzane okna — prawie nie dbając o fundamenty, schody, wiązania, stropy, tj. te składniki, na które wszystkie ciężary padają, elementy przysparzające tylko kłopotów, trudne, mało dające pola dla fantazji. W „Kąkolu i pszenicy" dobrze zrobione i przemyślane jest tylko to, co już sam autor przygotował i wypunktował dla scenicznego efektu. Że o kilka takich momentów zadbał, to nic dziwnego; zwykła to cecha sztuk pisanych przez aktorów. O to jednak chodzi, że reżyser i teatr nie dołożyli starań właśnie tam, gdzie tekst koniecznie wymagał pomocy, teatralnej podpory! Mowa tu nie o uprzykrzonym dopisywaniu — bezskutecznym już poza pewną granicą. Trzeba było dodać krwi, ciała, inwencji, teatralnego działania tam właśnie, gdzie pomoc była niewdzięczna, dla widza pozornie niedostrzegalna, ale zupełnie niezbędna dla ratowania całości. Kto w teatrze rachuje na łatwe t.zw. „kawałki" prześlizgując się nad miejscami puszczonymi lub trudnymi, ten zawsze gorzko się zawiedzie: zaprzepaści sens i poziom ogólny, a cóż komu wtedy po udanej sytuacji, kwestii, czy całej nawet jakiejś roli?

Tak więc motywy postępowania najczynniejszych w sztuce bohaterów nie zostały nam wytłumaczone ani przez autora, ani przez teatr. Niesposób domyślić się przyczyn nienawiści średniaka Wawrzka do spółdzielni i uwierzyć w nią do końca. Teatr nam tego zadania nie ułatwił, obsadzając w tej roli aktora, który odbiera postaci resztki wiarygodności.

Dalej: mała czytelność intrygi, dochodząca wręcz do niezrozumialstwa, nie jest zaletą „Kąkolu i pszenicy". Także tej fundamentalnej sprawy nie postarał się teatr uprościć, wyjaśnić. Zgiełk i bieganina na scenie właśnie w momentach dla fabuły węzłowych nie bardzo pomagają zrozumieć sens karkołomnej transakcji demonicznego Wawrzka.

Mówiło się już, że Łomnicki nie postarał się określić dokładniej terenu, w którym jego wieś jest położona, wychodząc najwidoczniej z błędnego przekonania, wedle którego *ogólnikowość* zawsze ułatwia widzowi *uogólnienie* sensu sztuki. Cóż czyni teatr, by środowisko — i tym samym sens wypadków — uczynić wiarygodniejszym? Każe bohaterom operować zbieraniną najróżniejszych dialektów, językiem *parapolskim****) to jest ludowo - kancelaryjnym, ponadto zaś przyodziewa spółdzielców w stroje takie, że jeśli jeden wzięty jest z Opoczna, to drugi ród bierze z kurpiowskiej Zielonej Puszczy.

Nie trzeba mnożyć dowodów. Jasne jest, że nie tam teatr pomógł Łomnickiemu, gdzie dramaturg mógł spodziewać się sukursu.

DWA TEATRY

O ile sztuka Łomnickiego jest echem okresu minionego, o tyle „Sprawa rodzinna" Jerzego Lutowskiego****) uznana być może za jedną z pierwszych jaskółek nowego już etapu. Lutowski, pomny widać na szacunek dla munduru, nie pokazał pleców po pierwszej „Próbie sił". Odwrót o 30 lat historii, przedsięwzięty dla napisania „Wzgórza 35", okazał się tylko owocnym manewrem taktycznym, po którym pisarz od razu wziął się do zagadnień bardzo aktualnych, pisząc wcale dobry scenariusz o wydobyciu „Gneisenau" i rzeczoną „Sprawę rodzinną". Co tu dziś ukrywać — pierwsza sztuka budziła we mnie złe przeczucia i małe nadzieje. Druga napełniła już otuchą. Dziś można z czystym sumieniem i radością powiedzieć — z Lutowskiego jest dramaturg i będzie pociecha. Właśnie stały i widoczny rozwój tego pisarza pozwala ufać, że „Sprawa rodzinna" nie stanowi pułapu jego możliwości. Autor już wie, jak szkodzi sztuce słuszna nawet, ale nie popychająca akcji tyrada, wie, jak ważna jest zwięzłość, jak uderza prostota i oszczędność środków, gdy kontrastuje z zasięgiem artystycznego zamiaru, wie wreszcie, że wartka i ciekawa akcja nie jest w utworze zbyteczna, jeśli się chce, aby widz wysiedział do końca i wysłuchał tego wszystkiego, co mu autor ma do powiedzenia.

To ważne zdobycze. Zwłaszcza że z ich pomocą udało się Lutowskiemu poruszyć sporo istotnych spraw tak, że trzymają się kupy.

Kandydatów na inżynierów dusz ludzkich mamy wielu. Majstrów za to — ciągle jeszcze mało. A raczej — nie wszyscy chcą wiedzieć, że nasamprzód trzeba zostać majstrem, aby móc sięgnąć po tamtą wysoką godność. Cieszmy się, bo przybył nam oto dobry majster. Lutowski dowiódł, że potrafi pisać sztuki sprawnie, czysto, z sensem, że ma ucho i serce dla spraw współczesności.

Nie o tym jednak tu miała być mowa. Czy sztuka nie ma błędów, słabych stron? Pewno, że ma. Czy zyskała na realizacji w „Ateneum"? Bardzo. Czy i jak teatr z autorem współpracował, jak mu pomógł, co zrobił dla sztuki, dla wspólnej, rodzinnej sprawy pisarzy i artystów? Otóż to! Właśnie tu jest źródło największej radości. Przykład „Ateneum" budzi rzetelną otuchę. Z dwojakiej przyczyny.

Że trupa „Ateneum" staje się zespołem z prawdziwego zdarzenia, poznać można było już po wykonaniu „Zbiegów" Auderskiej, sztuki ciekawszej, niż oczekiwano; nasza niedawna dyskusja o Konstytucji dodała jej ważnego sensu i oświetliła blaskiem kontrastu dawne dzieje chłopskiej krzywdy. Ale „Sprawa rodzinna" dowiodła, że zespół ten startuje z pozycji, których wiele scen naszych jeszcze nie osiągnęło. Nie wiem, jak tam wyglądała współpraca teatru z autorem przy cyzelowaniu tekstu. To ważne, ale nie to nas tu obchodzi. Najważniejsza jest pomoc, okazana przy realizacji, obsadzaniu, inscenizacji. Oto najcenniejsza forma współpracy z pisarzem!

Młody, niedoświadczony zespół osiągnął sukces dzięki temu właśnie, że do sztuki odniósł się z troską. „Sprawa rodzinna" wcale nie jest arcydziełem. Od tego też zaczęto. Warmiński zdawał sobie widać dobrze sprawę z tego, czego sztuce potrzeba, bo wszędzie prawie zrobił wszystko możliwe, aby widowisko miało kształt jednolity, artystycznie przekonywający, więc i politycznie skuteczny. Widać tu dobrą zakwaskę łódzkiego Teatru Nowego.

Postarano się zatem dać sztuce największe możliwe szanse. Staranną i trafną reżyserię. Dobraną obsadę; znaleziono dla roli matki Kamińskiej Gustawę Błońską, która tu dopiero pokazała co umie. Ale co ważniejsze — teatr najwięcej wysiłku włożył w dodanie ciała i krwi tym postaciom, którym tego nie dostawało. Postaci zaniedbywanej żony inżyniera brak było jasnego charakteru, motywów działania, korzeni socjalnych. Zaproszono Aleksandrę Śląską. Rola zyskała pełnię człowieczą, ostry rysunek, wiarygodność, wdzięk. Tomek, zakała rodziny, bikiniarz i utracjusz, sprawca nieszczęścia, agent i ofiara wrogiej siły — budził obawy, że na scenie nic z niego nie wyjdzie, prócz tradycyjnego bażanta ze „Szpilek". I oto — mało jeszcze znany, młody aktor, przenoszący się podobno do... łódzkiej operetki, Włodzimierz Skoczylas, nagle wykazał, że Tomek jest naturą zawiłą, bardzo ludzką i bardzo przy tym zasługującą na rózgi.

Tak tu ze wszystkim prawie. Warmiński rozumiał, że sztuce grozi melodramatyzm, prawie nieuchronny, skoro wszystkie konflikty zachodzą w obrębie rodziny, skoro autor każe takiemu staremu Kamińskiemu z jednym synem walczyć przez trzy akty, a drugiego się wyrzekać. Dlatego kazał grać z emocjonalnym tłumikiem, powściągliwie. Zawiódł tu tylko Wł. Staszewski, grający nie tyle starego Kamińskiego, ile kogoś blisko spokrewnionego z Karhanem-seniorem i królem Learem naraz. Zresztą, w tym widowisku nie ma oczywistych błędów, są tylko niekonsekwencje. Przykład? Dekoracje. Skoro wiadomo było, że wadą tej sztuki może stać się miałkość, małostkowość, płynąca z ograniczenia rzeczy do kręgu jednej rodziny i jednego pokoju, to nie wolno było dopuścić do dekoracji tak naturalistycznych i drobiazgowych, tak szarych i tchnących pospolitością.

A NIE ŁASKA BIĆ SIĘ NA OSTRE?

W tym miejscu dochodzimy jednak do ważnego zagadnienia — mowa o granicach pomocy, której może teatr autorowi udzielić. Ta pomoc nie powinna polegać na wyręczaniu! W tym wypadku — jest to sprawa ambicji, których zakres sam tylko Lutowski może zwiększyć. Oszczędność środków i techniczna sprawność — to piękne rzeczy, ale nie wolno poświęcać dla nich śmiałości, rozmachu, wyrazistości, których braku żaden teatr nie nadrobi, a widz-budowniczy i bojownik socjalizmu — nie wybaczy. Poprawność nie może być ideałem Jeśli tej sztuce czego brak, to oddechu. W „Sprawie rodzinnej" zarysowuje się mankament, wobec którego teatr jest już bezsilny i który powinien zniknąć w nowych sztukach Lutowskiego: skrępowany zapewne narzuconymi sobie rygorami, autor dopuścił do połowiczności konfliktów. Brak nader charakterystyczny. Nieśmiałość jakaś, czy co u licha, kazała Lutowskiemu pewne konflikty w swojej sztuce markować, rozwiązywać w sposób ułatwiony, więc nieprawdziwy. Tak np. rozdźwięk między Ireną a Feliksem, jej mężem, oparty jest na obopólnym nieporozumieniu. Zazdrość obojga — jak to się w trzecim akcie okazuje — nie ma podstaw. Całe szczęście! Ale... Oby nigdy groźniejszych, prawdziwszych raf stadła małżeńskie nie spotykały! Nie znalazł rozwiązania inny zasadniczy konflikt sztuki: między pracą Feliksa, jego badaniami, jego życiem zawodowym a życiem rodzinnym. Skoro już to zagadnienie Lutowski uznał za ważne, to nie miał prawa wykpic się — dosłownie — od jego rozwiązania, czy chociaż wyjaśnienia, jak to zrobił, posiłkując się nie własnym dowcipem o małżeństwie aktywistów, co to są szczęśliwi, bo nie widują się, więc nie mają czasu na sprzeczki... A nie łaska bić się na ostre? Widz nie uwierzy we wnioski z przesłanek ułatwionych.

Sprawa przezwyciężenia podobnych braków jest całkowicie w ręku Lutowskiego. Mamy prawo oczekiwać od niego i zamiarów śmiałych, i wykonania sprawnego.

Troska „Ateneum" o dobro „Sprawy rodzinnej" i sukces, jaki w rezultacie stał się udziałem teatru, są zjawiskami godnymi bacznej uwagi. Ważna to wskazówka dla ludzi teatru. Dobry omen i zachęta dla dramatopisarzy.

Jerzy Pomianowski

---

*) Na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego przypomniał Fadiejew: „Nie wolno jednak dopuścić, żeby literatura, jak to się często zdarza, uważana była w naszych szkołach i nauczycielskich seminariach tylko za ilustrację do historii, albo do tych lub innych też socjologicznych, bez zwrócenia uwagi. na to, że chodzi o literaturę *piękną*..."

**) Państwowy Teatr Ludowy (na Pradze). Kier. art. — W. Hańcza. Reż. — Jan Świderski Opr. dramaturgiczne — B Butryńczuk Scenografia — A. Sadowski. Muzyka — Mira Wereszczyńska.

***) Termin. P. Hoffmana.

****) Państw. Teatr „Ateneum". Reżyseria — Janusz Warmiński. Scenografia — Władysław Buśkiewicz.

JERZY ZIOMEK

Literatura staropolska

W roku bieżącym szkoła średnia otrzymała nowe podręczniki historii literatury polskiej w opracowaniu Instytutu Badań Literackich. Zamieszczony w niniejszym numerze artykuł rozpoczyna cykl recenzji, oceniających poszczególne tomy.

Po wydanych przed dwoma laty **Wypisach** z komentarzami otrzymała obecnie klasa IX nową pomoc do nauki literatury ojczystej — ambitny podręcznik*), którego autorzy podjęli trudne zadanie gruntownej rewizji ocen i interpretacji literatury staropolskiej. Wydane po wojnie podręczniki: Wojeńskiego, Kleinera i (pożal się boże!) Mazanowskich zadań tych spełnić nie mogły. O Mazanowskich nie warto nawet mówić, podręcznik zaś Wojeńskiego i **Zarys** Kleinera, niejednokrotnie pożyteczne materiałowo, dały jednak tylko nową wersję tradycyjnego ujęcia dziejów piśmiennictwa polskiego. Nowy podręcznik przygotowany przez pracownię Instytutu Badań Literackich daje pierwszą próbę marksistowskiej oceny tego okresu.

Niemałe trudności piętrzyły się przed autorami Po pierwsze musieli oni niejednokrotnie wyręczać historyka w opisie i interpretacji sytuacji gospodarczej i politycznej, po drugie musieli dać uczniowi możliwie pełną i poprawną interpretację kilkunastu autorów i kilkudziesięciu dzieł, nie mając do dyspozycji prawie żadnych nowoczesnych marksistowskich opracowań monograficznych. Obfity plon 4 lat pracy IBL — to przede wszystkim syntezy i analizy innych epok literatury polskiej. Mimo to podręcznik przynosi wiele słusznych sformułowań interpretatorskich i — co jest rzeczą najważniejszą — przekonywa dowodnie ucznia o jedności procesów historycznych, pokazuje związek pomiędzy zmianami zachodzącymi w bazie a rozwojem tej części nadbudowy, jaką jest literatura. Na renesans uczeń patrzy jako na przejaw walki szlachty i mieszczaństwa z reakcyjnym, kosmopolitycznym kościołem hamującym rozwój kultury narodowej i utrzymującym narody w zależności gospodarczej i politycznej.

Nowy podręcznik daje także nauczycielowi broń do ręki w walce z pokutującymi w starych opracowaniach tendencjami kosmopolitycznymi. Nie lekceważąc bynajmniej kontaktów kultury polskiej z postępową kulturą europejską epoki Odrodzenia autorowie podkreślają mocno rodzime źródła przewrotu umysłowego w wieku XV i XVI w Polsce, pokazują postępowych pisarzy jako **twórców** kultury narodowej, a nie jako gorliwych terminatorów u łacińskich i włoskich mistrzów.

Tak zatem słusznie zostały wydobyte plebejskie początki polskiego renesansu (Biernat z Lublina), traktowane zazwyczaj przez burżuazyjną historię literatury z nonszalancją jako relikt średniowieczczyzny w wieku XVI, na tej głównie podstawie, że język utworów tego nurtu cechują liczne archaizmy.

Słusznie obala podręcznik mit o kulturalnym posłannictwie kościoła w Polsce i o jego rzekomych zasługach dla rozwoju literatury w języku narodowym. Trafnie pokazano literaturę religijną średniowiecza jako narzędzie agitacji i wychowania mas w duchu zgodnym z interesami kościoła feudalnego. Jasno został wytłumaczony fakt dopuszczenia języka narodowego do literatury religijnej i liturgii jako ustępstwo kościoła w obliczu niebezpieczeństwa narodowych ruchów kacerskich i reformacji i wskutek naporu mas ludowych. Równocześnie jednak — trzeba to podkreślić z uznaniem — autorowie nie traktują literatury religijnej jako nurtu jednolitego. Zgodnie z leninowską nauką o dwu kulturach autorowie odkrywają dwa nurty w literaturze wieków średnich, pokazują ukryte pod maską religijną świeckie, a niejednokrotnie i plebejskie elementy. Można i należy tu polemizować ze szczegółami interpretacji. Należy domagać się rehabilitacji apokryficznych **Rozmyślań przemyskich**, które kryją wiele elementów świeckiego poglądu na świat, a które niesłusznie zostały uznane za narzędzie wychowywania w duchu pokory i posłuszeństwa kościołowi.

Autorowie przeprowadzili szereg słusznych „detronizacji": np. Orzechowski i Skarga to przede wszystkim ideolodzy katolickiej reakcji, a nie natchnieni prorocy przyszłych nieszczęść Rzeczypospolitej.

Z drugiej strony podręcznik przywraca tradycji narodowej zapomniane czy rozmyślnie przemilczane wartości literatury XVI i XVII wieku. Mam tu głównie na myśli omówione już i opracowane częściowo przez postępowych badaczy takie pozycje jak radykalna twórczość arian i plebejska literatura pierwszej połowy XVII wieku. Oczywiście i literatura ariańska, i literatura plebejska znane były przed wojną uniwersyteckiej polonistyce, ale uczeń nie zdobył na lekcjach języka polskiego żadnych wiadomości o jednej z piękniejszych kart w dziejach postępowej myśli polskiej. Dopiero nasz podręcznik, realizując politykę popularyzowania postępowych tradycji narodowych, daje uczniom wiedzę o arianach i plebejskich poetach.

Recenzent podręcznika jest w stosunku do autorów w sytuacji uprzywilejowanej. Podręcznik napisany przed dwoma laty konfrontujemy z dzisiejszym stanem naszej wiedzy o epoce i o literaturze w ogóle. Niemniej takie stanowisko recenzenta, choć nieco niekorzystne dla autorów, jest jednak słuszne.

Podręcznik odbija błędy naszego literaturoznawstwa sprzed dwu lat, z okresu przed opublikowaniem przełomowych prac Stalina o języku. Najbardziej dotkliwym niedostatkiem **Historii literatury** dla klasy IX jest pomijanie problematyki artystycznej dzieł. Najgorzej na tym wyszedł Kochanowski, którego roli w dziejach kultury nie podobna zrozumieć i docenić bez zanalizowania jego wkładu w narodową formę poezji polskiej. Drugim poważnym błędem jest nieprzezwyciężony ekonomizm, błąd o tyle niebezpieczny, że zaraźliwy. Uczeń łatwo podchwytuje nęcące prostotą definicji, ale jakże uproszczone sformułowania w rodzaju: „Wiek XVI jest już okresem zaniku wielkiej literatury renesansowej we Włoszech. Dzieje się to wskutek upadku gospodarczego kraju. Główne drogi handlowe prowadzące przez Europę na południe straciły już wtedy dawne swoje znaczenie" (s. 38). Także opacznie i ciasno pojęta została rola środowiska i otoczenia poety. Tak np. o Janickim czytamy, że „jest tylko z pochodzenia chłopem. w twórczości swojej ujmuje sprawy z punktu widzenia swych możnych protektorów" (s. 56). Sądzę. że krzywda się stała Janickiemu. który był autorem nie tylko panegiryków, ale także pieknej liryki.

Troska o wyniki nauczania w szkole średniej każe nam zwrócić baczną uwagę na stronę dydaktyczną podręcznika. Stanowi on pod tym względem niewątpliwy krok naprzód w porównaniu z wcześniejszymi **Wypisami,** ale ciągle jeszcze nas nie zadowala. Będzie to może truizmem, kiedy powtórzę stary zarzut stawiany historyczno-literackim opracowaniom przeznaczonym dla szkoły: „za trudne". Kazimierz Wojciechowski recenzując podręcznik w czasopiśmie dla nauczycieli (Polonistyka, nr 4/23) wyliczył na dowód małej przystępności tej pracy szereg nagromadzonych w jednym zdaniu wyrazów obcych. Jestem również za wyrugowaniem wyrazów obcych nie tylko z podręcznika, ale w ogóle z życia i nawet języka naukowego, jeśli wyrazy takie można bez trudu i bez zmiany sensu zastąpić terminami polskimi i powszechnie zrozumiałymi. Natomiast upomnę się o prawo obywatelstwa dla terminologii fachowej w podręczniku literatury dla szkoły średniej. Uczeń, który operuje terminologią z zakresu przyrodoznawstwa czy matematyki jest w stanie zrozumieć (z pomocą nauczyciela oczywiście) zdanie, że Rabelais'ego „dzieła najlepiej urzeczywistniają rewolucyjny optymizm Odrodzenia i najpełniej reprezentują renesansowy realizm". Niejasności podręcznika polegają moim zdaniem nie na używaniu wyrazów obcych w rodzaju „optymizm, realizm, rewolucyjny", ale przeciwnie — na nieścisłych, metaforycznych sformułowaniach. Należy unikać nie terminologii fachowej, ale zdań: „jej (tj. satyrycznej twórczości Potockiego) bezpośrednie rumieńce są odbiciem pożogi rozgorzałej na Wschodzie" (s. 152).

W burżuazyjnej szkole latami korzystano z tych samych opracowań. Dużo musiało wody w Wiśle upłynąć, nim jakiś podręcznik stał się przestarzały. Jeśli autorom omawianego podręcznika łatwo po dwu latach stawiać zarzuty, jeśli w najbliższym wydaniu przyjdzie im wiele rzeczy zmienić i poprawić, to niech nie sarka nauczyciel. Będzie to bowiem dowód nie słabości autorów, ale aktywności i sprawności marksistowskiego literaturoznawstwa w Polsce.

Jerzy Ziomek

*) Historia Literatury polskiej. Klasa IX Część I Literatura staropolska od początków piśmiennictwa do czasów saskich. Opracowali: Kazimierz Budzyk i Jadwiga Pietrusiewiczowa przy współudziale Łukasza Kurdybachy. Warszawa 1951, s. 212, 4 nlb PZWS.

Echo Października

(Dokończenie ze str. 4-tej)

sze jednak gorszące zajścia na miejscowej Radzie Delegatów Robotniczych przekonały mnie, że towarzysz Malinowski miał słuszność i dlatego zmieniłem pierwotny zamiar, z jakim tu przyjechałem. Myślę, że wy, towarzysze, który macie za sobą chlubną. naprawdę rewolucyjną przeszłość, sami potraficie tu u siebie zrobić porządek i wymieść śmiecie, które zanieczyszczają wasze gniazdo. Proponuję więc najpierw wybrać prezydium i wtedy dopiero przystąpimy do zajęcia się osobami, których spis tu przedstawię, i które — moim zdaniem, a także, sądzę, waszym — nie powinny dłużej znajdować się w szeregach naszej partii. Proszę więc zgłaszać kandydatury do prezydium — przewodniczącego, sekretarza i trzech asesorów. Proszę...

Ciszewski nie zdążył jeszcze dopowiedzieć do końca słowa „proszę", gdy poderwał się z miejsca Szczygieł i mocnym. donośnym głosem powiedział: — Na przewodniczącego proponuję towarzysza Mierkiewicza, na...

Burza oklasków, jaka się zerwała na sali, nie pozwoliła mu wymienić dalszych kandydatów do prezydium. Ciszewski zrobił ruch, jakby się chciał rzucić na całą salę. Zacisnął pięści. Gdy nieco uciszyło się, krzyknął na cały głos:

— Kto tu sobie śmie urządzać kpiny?

— To ja, Szczygieł się nazywam. A co do kpin, to my tu też nie pozwolimy, żeby z nas kpiono! — mówił coraz namiętniej Szczygieł. — Towarzysze! Słyszeliśmy tu, chociaż ja do tej jeszcze pory nie wierzę własnym uszom, że mamy usunąć towarzyszy: Mierkiewicza, Zaklickiego i wielu innych. Kto jest Mierkiewicz — wiecie, kto jest Zaklicki — wiecie! Czy zdradził kiedy który z nich naszą sprawę?

— Nie! — ryknęła sala.

— Otóż, jak mnie tu widzicie, prędzej sobie dam uciąć tę prawą rękę, niż ją podniosę za wyrzuceniem tych towarzyszy. Dlatego jeszcze raz powtarzam: proponuję na przewodniczącego towarzysza Mierkiewicza, na sekretarza towarzysza Zaklickiego. Skończyłem.

Jeszcze nie ucichła nowa burza oklasków, gdy z miejsca podniósł się i poprosił o głos Kmita. Ciszewski skwapliwie udzielił mu głosu i prosił, aby się zbliżył do prezydium. Kmita zrzucił ciepłą watówkę i przecisnąwszy się do przejścia szedł wolno do stołu. Był w starej, zapiętej na wszystkie guziki, legionowej bluzie. Odrzynające się kolorem, czarne spodnie wpuszczone były w lśniące cholewy dużych butów. Od szerokich barów zwisały długie, o szerokich jak łopaty dłoniach ręce. Te same ręce, które rozbijały czerepy żandarmom, łamały szczęki szpiclom, zmiatały z drogi prowokatorów. W walce z wrogiem był bezwzględny, nieubłagany. Zanim doszedł na miejsce, na sali już zupełnie się uciszyło. Wszyscy byli przekonani, że opowie się za Ciszewskim, wbrew nastrojom sali. Ale nikt nie śmiał przed czasem przeszkadzać mu — wciąż jeszcze uginano się przed powagą jego czynów. Niech mówi, zobaczymy...

— Towarzysze! — zaczął, przeciągając nerwowo ręką po sumiastych wąsach. — Od kilku dni niemal duszę się w niepewności i niezrozumieniu, dlaczego oddaliśmy władzę endekom. Myślę sobie, przyjedzie towarzysz Ciszewski — wyjaśni. I towarzysz rzeczywiście przyjechał i to, co powiedział, omal nie zemdliło mnie. (Na sali śmiechy).

Takiego gadania, towarzyszu Stanisławie (pseudonim Ciszewskiego z okresu konspiracji) — głos Kmity stawał się coraz twardszy, ostry — my tu nie rozumiemy i nie chcemy zrozumieć. My, robociarze, przywykliśmy do innego języka i nie wątpiliśmy, że i wy nie zapomnieliście języka, jakim winno się przemawiać do wroga. Jeśli nie mogliście sobie poradzić z wrogiem, trzeba było się do nas odwołać, zwrócić o pomoc do nas, robotników. Czy zawiedliśmy kiedy? Nigdy! Ale wy woleliście to załatwić sami, w ciszy ministerialnych gabinetów, i losy nasze, całą władzę nad nami, nad proletariatem polskim, przekazaliście w łapy burżuazji. Tego nie zapomni wam nigdy historia! To była zdrada!...

— Zdrada! — huknęli wszyscy i poderwali się z miejsc z wyciągniętymi w górę pięściami. Słowo to jak echo odbiło się i rozpłynęło w gniewnym pomruku sali.

— Taka jest nasza odpowiedź! — mówił już niemal świszczącym głosem Kmita, a groza jego spływała na salę stapiała wszystkich w jedność o niezmiernej mocy. — Taką odpowiedź zanieście swoim kolegom z Centralnego Komitetu! Powiedzcie im, że tu, z tej sali, przemówiło do was rewolucyjne sumienie! Przyszliście tu wyrzucać z partii ludzi, którzy sterali swoje dzieciństwo, młodość swoją w wilgotnych mrokach kanałów fabrycznych, których przywilejem całego życia był głód, nędza, upokorzenie... I którzy nigdy nie wahali się przed złożeniem największych ofiar, gdy chodziło o walkę z wrogiem! Tych ludzi przyjechaliście wyrzucać z partii? Dlaczego? Dlatego, że się zbuntowali? Że nie chcieli się pogodzić nawet z myślą dzielenia się władzą z wrogiem? I wy, towarzyszu Stanisławie, z otwartym czołem tak śmiecie tu przed nimi stanąć i powiedzieć im w oczy, że muszą być wyrzuceni! Dobrze, wyrzucajcie sobie! Ze mną nie potrzebujecie sobie zadawać tego trudu! Oto legitymacja!

Przy ostatnich słowach wyciągnął z bocznej kieszeni legitymację partyjną i z pasją rzucił nią w twarz Ciszewskiemu. Na sali zerwał się potężny okrzyk i momentalnie prawie zamarł. Gdy Kmita wracał na miejsce, do stołu zbliżał się przygarbiony nieco Mierkiewicz. Podobnie jak Kmita rzucił legitymację i bez słowa skierował się w stronę wyjścia. Za nim już poszli wszyscy. Przy stole i wyjściu powstał niesłychany ścisk. Ostatni opuszczał salę na swym wózku Bronek Gałczyński.

— Jak to on powiedział? — pytał Bronek, gdy przenosili go przez jedną z zasp. — Bunt rewolucyjnego sumienia? Tak? Wspaniale to było powiedziane, co? I kto by się tego spodziewał po Kmicie? Niech go dunder!...

Leon Wudzki

Książka w Związku Radzieckim

(Dokończenie ze str. 2-ej)

składające się z nauczycieli, bibliotekarzy, z kołchoźników, robotników, miłośników książek, z rodziców, ze znawców potrzeb okręgu. Wyniki narad materializują się w zamówieniach księgarń, wysyłanych do centrali okręgu, a w ostatecznym rezultacie — w nakładach książek.

Książki sprzedają bazary stałe i ruchome, książkowozy, książkonosze. Dwadzieścia pięć tysięcy punktów sprzedaży na wsi współzawodniczy z rozległą organizacją sprzedaży przez pocztę. Duży wysiłek kieruje się obecnie na rozszerzenie sprzedaży książek w szkołach. Przy spotkaniach z autorami organizuje się bazary książki. We wsiach otwiera się sezonowe, letnie bazary. Wystarcza niekiedy wynieść na ulicę półkę książkową spółdzielni gminnej, aby ją całą wyprzedać. Na wiejskich wystawach książki, połączonych zresztą zwykle z przyjazdem pisarza, w jeden dzień sprzedaje się więcej książek, niż przez tydzień sprzedaży zwykłej.

Klasycy marksizmu, dzieła Lenina, Stalina, klasycy rosyjscy i obcy, przeważna część dzieł wielotomowych, encyklopedie, rozchodzą się w sprzedaży subskrypcyjnej.

Z jednej strony więc wydawnictwa dokonywać muszą niezmiernego wysiłku, aby zaspokoić rosnące zapotrzebowanie, z drugiej zaś organizacje sprzedaży książki prześcigają się w pomysłach, aby dotrzeć coraz głębiej i dalej w teren! Aby uświadomić sobie tempo rozwoju kultury w ZSRR, wystarczy przypomnieć, że w 1930 roku było tam 33 proc., a w 1933 roku— 10 proc. analfabetów! Tak to ciężko było uporać się na bezmiernych przestrzeniach kraju ze schedą po Romanowych, burżuazji i obszarnikach.

Jan Stefczyk

LIST Z ELLIS ISLAND

(Dokończenie ze str. 5-tej)

twoje nie pozwalają ci dojrzeć wroga, podnoszącego miecz. Nie jestem tak podły, aby burzyć twe marzenia, aby w takiej chwili zasypywać cię pustymi słowami. Lecz trzeba powiedzieć prawdę. Jeśli poznasz prawdę, jeśli ujrzysz prawdziwe oblicze tych, którzy sprawiają ci ból, będziesz mógł żyć dalej. Mówię więc do ciebie, jak do przyjaciela. Zapytaj sam siebie, dla kogo, za co syn twój walczy i umiera w Korei? Czy wylałeś kiedy choć jedną łzę za tych, których syn twój zabija i zatruwa, wypędza z domu i okalecza tam, w Korei? Może deportacje niesie nam właśnie wojna w Korei, tak jak choroba sprowadza ból, jak po błyskawicy rozlega się grzmot. Może syn twój przyśpiesza twą deportację? Żaden rząd nie może być sprawiedliwy dla swego własnego narodu, jeśli jest niesprawiedliwy dla innych. Tak samo i syn. Jeśli zabija innych ojców, nie może uratować własnego".

Wszyscy milczeli i nikt się nie poruszył. Z ust do ust podawano sobie nazwisko deportowanego. Wśród więźniów zaczął krążyć tekturowy kubek z reklamą Coca-Cola i słychać było brzęk wpadających do niego monet. Marynarz grecki, w przeciwieństwie do innych z niecierpliwością oczekujący chwili deportacji, gdyż czeka go serdeczna gościnność Polskiej Republiki Ludowej, która uratuje go od śmierci z rąk greckich faszystów, podszedł bliżej i jakby się tłumacząc, powiedział: „Nie mam pieniędzy, lecz daję ci to". Pomięty, widocznie często obracany w dłoniach kawałek papieru, który wręczył holenderskiemu deportowanemu był fotografią makiety Pałacu Kultury i Nauki, budowanego przez rząd radziecki jako dar dla narodu polskiego. Odchodząc, marynarz grecki dodał: „Kiedyś rząd radziecki wybuduje taki pałac również dla was i mam nadzieję, że nastąpi to niedługo".

Kiedy wróciłem na mój oddział, współtowarzysze z celi spojrzeli na mnie ze zdumieniem i wybuchnęli śmiechem. W zamieszaniu spowodowanym przez Greka fryzjer ostrzygł mi tylko połowę głowy. Przez kilka dni jeszcze moi sąsiedzi z celi mieli powód do śmiechu i doskonale bawili się moim kosztem.

Opowiedziałem ci o ludziach, którym złamano życie, o ludziach, którzy cierpią. To w żadnym razie nie wszystko, co mógłbym ci opowiedzieć. Dzieje się to na wyspie. Wyspa ta nie nazywa się Koże i nie jest położona w dalekiej Korei. Jest to Ellis Island i piszę o tej właśnie wyspie, położonej w samym sercu New Yorku, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Gdybyś pisał do mnie, to adres mój brzmi: — Ellis Island, New York Harbor, New York, USA.

Mały skrawek ziemi, na którym żyjemy i cierpimy, znajduje się w cieniu sławnego Posągu Wolności. Tylko pięć minut jazdy promem przez Lower Manhattan Bay dzieli nas od wielkiego miasta New Yorku z jego sławnymi uniwersytetami, gazetami, bibliotekami, drapaczami chmur, od centrum i źródła amerykańskiego handlu, przemysłu i kultury. Zdaje się, że wyciągnąwszy rękę można by dotknąć gmachów na Folley Square, uświęconego miejsca spoczynku sprawiedliwości amerykańskiej, potężnych stacji radiowych i telewizyjnych, które przez dwadzieścia cztery godziny głoszą światu hymny na cześć amerykańskiej „wolności i demokracji". W pogodny dzień widzimy, jak słońce odbija się w szklanych ścianach gmachu Narodów Zjednoczonych. Gdy wiatr wieje z zachodu, dolatują nas głosy z przejeżdżających niedaleko statków wycieczkowych, to przewodnicy opowiadają turystom z innych krajów i z naszej prowincji o wspaniałości New Yorku tego „klejnotu" AMERICANA i o znaczeniu jego miejsc pamiątkowych. Zwracają oni również uwagę turystów na Ellis Island.

Na tej właśnie wyspie zamknięci jesteśmy ja i tysiące innych, stąd właśnie piszę ci o ohydzie, o nieludzkim, prawdziwym, odartym z maski obliczu amerykańskiej klasy rządzącej, ja, więzień oddzielony od świata murem z cegieł i zasiekami z drutu kolczastego. Jeśli wszystko to dzieje się w samym sercu New Yorku, pod czujnym okiem postępowej opinii publicznej. czemuż się dziwić okrucieństwom popełnianym na wyspie Koże? Jeśli ludożercy, zrzucający bomby atomowe. są zdolni do tak bestialskiego traktowania swych ofiar na Ellis Island, zdolni są również do prowadzenia wojny bakteriologicznej.

A jednak za trzy dni, we wtorek, 22 lipca, na Beldoe's Island, gdzie Posąg Wolności wita na tej ziemi wszystkich przybyszów, odbędzie się wiec zwołany przez postępową organizację kobiecą. Wiec ten poświęcony będzie przypomnieniu amerykańskich tradycji wolności i gościnności. Jednym z mówców na tym wiecu będzie moja żona. Dzieci moje będą tam również, a także żona Pete'a i ich dzieci, i wiele, wiele innych.

Będą oddzieleni tylko wąskim paskiem wody od Ellis Island, gdzie więzieni są ich mężowie i ojcowie. Stojąc przy zasiekach z drutów kolczastych będę mógł ich zobaczyć u stóp Posągu.

Będę się czuć ściśle związany z tym wiecem. Przemawiając, żona moja mówić będzie i za mnie.

Miłujące pokój ludy są silniejsze, niż ci handlarze śmierci i rzekomi zdobywcy świata; bodźcem do ich walki jest potęga i osiągnięcia Związku Radzieckiego. Ludy te potrafią powstrzymać zbrodnicze, siejące zarazę, zrzucające bomby ręce podżegaczy wojennych.

Do widzenia, Bill. Pete prosi, żeby cię pozdrowić.

Mam nadzieję, że w wolnych chwilach, kiedy odpoczywasz i cieszysz się wynikami pracy dla socjalizmu, wspomnisz o nas, więźniach na Ellis Island.

Przesyłam ci serdeczne pozdrowienia.

Ellis Island, 19 lipca 1952 r.

Martin Young
tłum. J. Czarnocka

„Dziennik" Jana Szembeka (VI)

REAKCJA BECKA NA REMILITARYZACJĘ NADRENII

11 marzec 1936. Rozmowa z Beckiem

Zapytałem go, czy będzie (w imieniu Polski) głosował za zastosowaniem sankcji gospodarczych wobec Niemiec; odpowiedział negatywnie. Nie zgodził się jednak, bym zakomunikował o tym Moltkemu, mimo mojej uwagi, że wiadomość ta zrobiłaby w Berlinie silne wrażenie. Zapowiedział mi jednak, że pragnie zapewnić Moltkego, iż podczas pobytu Becka w Londynie, minister będzie *w stałym kontakcie z ambasadorem Niemiec, i nie użyje przeciw Niemcom żadnej wiadomości, zdobytej od niego.*

KŁOPOTY Z OPINIĄ POLSKĄ

15 marzec 1936 Rozmowa z premierem Kościałkowskim.

Sądzi on, że utrzymanie dotychczasowej polityki wobec Niemiec jest koniecznością. Wziąwszy jednak pod uwagę charakter Polaków, uważa, że nie powinniśmy zakazywać manifestacji z okazji rocznicy powstania śląskiego. Premier się obawia, że minister Spraw Zagr. będzie robił tu trudności. Odpowiedziałem, że, według mego zdania, nie ma potrzeby podtrzymywać w społeczeństwie nastrojów antyniemieckich; opinia polska jest z gruntu wroga wobec Niemiec, życzliwie zaś ustosunkowana do Francji, i sympatyzująca z Sowietami (soviétophile). Uważam, że jest niezbędnym uczynić bardziej popularnymi nasze zasady polityki zagranicznej.

BECK I KRÓL ANGIELSKI ROZMAWIAJĄ PO NIEMIECKU

29 marzec 1936. Rozmowa z Beckiem.

Beck jest zadowolony z wyniku rozmów w Londynie z królem Edwardem VIII, Edenem i Van Zeelandem. Edward VIII wywarł na nim korzystne wrażenie. Uważa, że król ma charakter, który zbliża go raczej do typu Edwarda VII, nie Jerzego V. *). Uderzyło Becka, że król, świetnie władający francuskim, i zdający sobie sprawę z tego, że nasz minister również zna ten język, mimo to cały czas rozmawiał z nim po niemiecku.

OSTRZEŻENIE

1 maja 1936 Rozmowa z Beckiem.

Przyglądaliśmy się z okna gabinetu Becka manifestacji pierwszomajowej na placu. Beck zwrócił mi uwagę, że nastrój jest znacznie bardziej rewolucyjny i bojowy niż w latach poprzednich. „Międzynarodówka", której nie śpiewano dotychczas w Warszawie, dobiegła do naszych uszu.

„Z KAPELUSZEM W RĘKU" — NA ŻEBRY

20 maj 1936 Konferencja u Becka.

B. premier Kozłowski zapytuje Becka, w jaki sposób zamierza on zestroić politykę zagraniczną z położeniem wewnętrznym kraju. Sytuacja finansowa jest wysoce niepokojąca. Kozłowski przewiduje, że na jesieni nastąpi kompletne załamanie się gospodarki finansowej. W tych warunkach Kozłowski nie widzi możliwości prowadzenia polityki zagranicznej o wielkim rozmachu, jeżeli wkrótce „będziemy zmuszeni sprezentować się zagranicy z kapeluszem w wyciągniętym ręku".

*) Edward VII (1841—1910), odznaczał się energią, której brakło jego synowi, Jerzemu V, ograniczającemu się do godnego reprezentowania Imperium w oficjalnym okazjach W niewiele miesięcy po wygłoszeniu przez Becka podanej tu opinii Edward VIII abdykował, celem związania się z panią Simpson, damą z „wielkiego świata", lecz bez tytułu. (przyp. nasz)

INSTRUKCJA NA WYJAZD DO BERLINA

W dniach od 6 do 17 sierpnia 1936 Szembek przebywał w Berlinie, jako oficjalny przedstawiciel rządu polskiego na Olimpiadzie Przed wyjazdem Beck udzielił mu instrukcji na temat ewentualnych rozmów z niemieckimi mężami stanu. (przyp nasz).

5 sierpień 1936 Konferencja z Beckiem, w Warszawie w przeddzień wyjazdu.

W wypadku rozmowy z Kanclerzem, jeśliby stawiał on jakie pytania, *udzielić mu wszelkich wyjaśnień bez robienia trudności.* Jeżeli zaś nie wystąpi on sam z inicjatywą, należy w trakcie rozmowy zadeklarować, że „rząd polski (trzeba tu dać do zrozumienia, że mamy na myśli wszystkie czynniki kierujące, łącznie z gen. Śmigłym-Rydzem) — trzyma się zasad marszałka Piłsudskiego, że polityka zagraniczna nasza nie ulegnie zmianie, i że nie ma najmniejszej skłonności do zmiany".

RIBBENTROP: „TO DOPIERO POCZĄTEK"

8 sierpień 1936 Rozmowa z Ribbentropem.

Rozmawialiśmy o marszałku Piłsudskim. Ribbentrop powiedział, że należy żałować, że Hitlerowi nie udało się poznać osobiście marszałka. Ci dwaj mężowie stanu, zbliżając nasze dwa kraje, dokonali olbrzymiego dzieła. Dzisiejsza sytuacja dowodzi, że Polska i Niemcy powinny kroczyć razem. Ribbentrop jest przeświadczony, że dotychczasowe nasze osiągnięcia na polu zbliżenia to dopiero początek, i że dojdziemy w przyszłości do jeszcze wspanialszych rezultatów.

SZEMBEK USPRAWIEDLIWIA PRZED NIEMCAMI PAKT POLSKO-FRANCUSKI

9 sierpień 1936. Rozmowa z baronem v Neurath

Mówię o wizycie gen. Gamelin w Warszawie. Wyjaśniam, że generał, do pewnego stopnia, wprosił się sam, wyrażając chęć przybycia do Warszawy. Wizyta ta z pewnością

Bez lipy

Zwykła historia

„Towarzyszu Popow, przestańcie chlipać!
plotki o podrywaniu — to lipa".
W. Majakowski—„Podpora".

Redaktor Naczelny poprosił do siebie satyryka i powiedział: Napiszcie felieton o niegrzecznych ludziach. Zwłaszcza o tych, którzy się źle odnoszą do klientów. Niedawno pisaliśmy o ekspedientach, dużo piszemy o urzędnikach, może teraz spróbujecie na innym przykładzie.

— Może o kelnerach — zaproponował felietonista — przy okazji poruszy się stosunek do obiadów popularnych i sprawę higieny w restauracjach.

Piszcie — powiedział redaktor — byle ostro. Brak grzeczności, to bardzo przykre zjawisko.

Satyryk postanowił niegrzecznego kelnera opisać w monologu, gdyż wydawało mu się, że najlepiej ujawnia się psychika człowieka, kiedy ten mówi o sobie. Zastanowił się, jakie cechy powinna mieć postać przez niego stworzona, po czym usiadł i napisał:

„— Jak się wam podoba, kolego, ten gość, który siedzi przy stoliku pod filarami? Sam nie wie, czego chce. Ja mu grzecznie proponuję wódkę, to on mi z obiadem popularnym wyłazi. Więc mówię, że nie ma, bo za późno, to ten mi pakuje zegarek pod nos. Przyniosłem mu zupę, a że byłem przez niego zdenerwowany wylałem mu trochę na spodnie. Wlazł na mnie, że ma jedną parę spodni. Moja wina, że on spodni nie ma. Więc mu mówię, że dla takiej łachudry, to tu miejsca nie ma w czystym lokalu. Więc on mi powiada, żebym na siebie spojrzał, że niby mam brudne ręce. Higienista psiakrew. To pewnie z pańskiej brody — wrzeszczał na całe gardło — w zupie włosy pływają, bo czarne. A ja mu na to: — pilnuj pan swojej brody i nie trzymaj jej pan w zupie — i coś mu o jego żonie dodałem. Na to on, żebym ja swojej żony pilnował, a do niego się nie mieszał. Zwariować można od tych wymagań. Jedną parę spodni ma i jeszcze mu się jeść zachciewa. Żeby w lokalu trzeciej kategorii w śródmieściu taki skandal. Dobrze, że już kończę robotę. Wsiadam na rower i jadę do domu. Gwiżdżę na tych łapserdaków".

Nazajutrz na biurku satyryka zadrzwonił telefon:

Tu mówi Związek Kelnerów. — Chciałem zapytać, czy obywatel miał kogoś konkretnie na myśli pisząc o tym niegrzecznym kelnerze?

— Nie, nie miałem nikogo konkretnie na myśli — rzekł satyryk — pragnąłem tylko wykpić niegrzecznych ludzi, a musiałem ich pokazać na jakimś przykładzie.

Po chwili znów zadzwonił telefon. Dzwonił znajomy satyryka, bardzo miły i popularny kelner.

— Jak pan mógł, panie Stanisławie, tak nas obrazić? Czy pan nie wie o tym, że my ciężko pracujemy, jak można było tak nas dotknąć? Czy pan nie rozumie, że to zniechęca?... I robi pan to teraz, w tak ważnym momencie politycznym?!

— Nie było moim zamiarem obrazić was — rzekł smutno satyryk. Sam znam mnóstwo miłych i pożytecznych kelnerów, ale pisać pochwały na temat ich pracy, to zadanie całej pozostałej literatury, a nie satyry. Samo zjawisko braku grzeczności, przyzna pan, występuje, prawda?

Owszem. Może wśród ekspedientów, wśród urzędników, ale nie wśród kelnerów. Trzeba było o tamtych pisać.

Po chwili zadzwonił telefon:

— Czy to autor felietonu o kelnerach? Otóż ja mam brodę i pracuję w śródmieściu w lokalu trzeciej kategorii. Pragnę spytać, co pan miał na myśli, pisząc to zdanie „żebym swojej żony pilnował". Co będzie, jak żona to przeczyta? A przecież o tym wypadku z panną Andzią nie miała pojęcia, a zresztą to się zdarzyło tylko kilka razy.

— Ja też nie miałem pojęcia — rzekł satyryk. — I naprawdę jest to szczegół bez znaczenia dla intencji felietonu.

Po chwili zadzwonił telefon:

—Chciałem powiedzieć, że ja pracuję w śródmieściu i niedawno właśnie złożyłem podanie o rower. Ja wprawdzie nie mam brody, ale miałem i zgoliłem. Wiem, że felieton był o mnie i wypraszam sobie insynuacje z pijaństwem. Zresztą wtedy po imieninach Wacka wcale się tak ta awantura nie skończyła, jak pan pisał. A ten klient był bardziej pyskaty ode mnie. To jest w ogóle paszkwil na dobre imię kelnerów!

Po chwili zadzwonił telefon:

— Tu mówi zgnębiony gość. I poco pan pisał o tym? Teraz kelnerzy będą się na nas mścić!

Po chwili zadzwonił telefon:

—Tu mówi kierownik punktu zbiorowego żywienia nr 4512. Jaki z pana dziwny człowiek, panie felietonisto! Czy nie lepiej było jakoś ten wypadek polubownie załatwić? Można było przecież wpisać do książki zażaleń, którą przynajmniej my tylko czytamy! Po co zaraz takie rzeczy drukować?

Po chwili zadzwonił telefon:

— Tu mówi Filutkiewicz. Ja wprawdzie nie jestem kelnerem, ale bardzo się panu dziwię. Uprzedzam, że tę sprawę poruszę wyżej!

Po chwili zadzwonił telefon.

— Tu mówi kelner z czarną brodą z ulicy Marszałkowskiej. Co pan właściwie miał na myśli pisząc o tych brudnych rękach? Ja to doskonale zrozumiałem. Tylko ja mam brudne sprawy, tak? Więc niech pan się dowie, że w tej historii z wycieczką za miasto brali udział tacy ludzie jak...

Po chwili zadzwonił telefon:

— Tu mówi życzliwy znajomy. Słuchaj, Staszek, ty to mogłeś napisać, bo ty albo jesteś uczciwy, albo dobrze swoje grzeszki ukrywasz, ale pamiętaj, najmniejsza plama, a ja ci nie zazdroszczę. Tak narazić sobie ludzi!

— Tu mówi...

Krystyna Żywulska

P. S. Gdyby jutro chciał do nas dzwonić Związek Kelnerów zaświadczam, że autorka nie miała na myśli żadnego kelnera konkretnie, i że równie dobrze tematem jej felietonu mógł być konduktor Gdyby jutro chciał do nas dzwonić Związek Konduktorów zaświadczam, że autorka nie miała na myśli...

Nieznawuj Giez

Sprostowanie

Redakcja „Nowej Kultury" prostuje niniejszym pomyłkę, która zaszła w wierszu Wandy Karczewskiej „Mój głos", zamieszczonym w n-rze 42 „Nowej Kultury" z dnia 19 października. Początkowe słowa tego wiersza winny brzmieć:

„Ja,
córka spalonej w Oświęcimiu matki
i siostra zabitego w nim młodszego brata..."

UWAGI O PIOSENCE

Nikt nie zaprzeczy, że najszerszy zasięg — jeśli idzie o przekłady z języka rosyjskiego — mają u nas piosenki, Pieśń radziecką polubiliśmy, rozbrzmiewa ona wszędzie: w szkole i świetlicy robotniczej, w PGR-ze i w uzdrowiskach Dlatego też wydaje się, że tekst polski pieśni radzieckiej powinien być szczególnie staranny

Pieśń masowa, niezwykle ważny odcinek naszej twórczości muzycznej, może w pełni stać się prawdziwym dorobkiem szerokich rzesz, jeśli będzie podbudowana dobrym, wyrazistym, do głębi serca przemawiającym tekstem Słowa pieśni muszą mobilizować i wzruszać, budzić silne uczucia, hartować charaktery. Czy mogą taką rolę spełniać teksty blade, nijakie, powtarzające sztampę sławetnych „szlagierów" przedwojennych? Właśnie wzór pieśni radzieckich pomaga zwalczyć silne jeszcze tu i ówdzie skłonności „szlagierowe". pomaga przezwyciężyć je, by napełnić pieśń nową treścią naszego bohaterskiego i pięknego czasu

Jeśli tłumaczenie wiersza mówionego wymaga niezwykłej staranności, to znacznie więcej troski wymagają teksty śpiewane. Obowiązkiem tłumaczy piosenek radzieckich jest dać odbiorcom — młodzieży zetempowskiej, robotnikom w świetlicy i wielu, wielu innym — pełnowartościowy tekst, który by możliwie wiernie oddawał piękno pieśni rosyjskiej, jej bogactwo treściowe, jej dbałość i ścisłość w obrazowaniu.

Nie chodzi o to, by przekłady były dosłowne Ale elementarny postulat wierności przekładu wymaga, by autor nie wprowadzał od siebie rzeczy zmieniających charakter i nastrój pieśni ani też samowolnie nie usuwał elementów oryginał przez co niekiedy zachodzą istotne wypaczenia

Wśród tłumaczonych piosenek radzieckich jest bardzo wiele udanych przekładów L. Pasternak — jeden z najstarszych (nie wiekiem bynajmniej) autorów przekładów wiernie i trafnie odtworzył zarówno rytm i jak i wewnętrzny nurt pieśni takich jak: „Pieśń lotników", „Od kraju znów do kraju" i wielu innych Poetyczne są tłumaczenia St. R. Dobrowolskiego, K. Gruszczyńskiego, W Woroszylskiego Ale w pieśni o Stalinie K. Gruszczyński np. osłabia akcent jeśli tłumaczy „My na podwig liuboj, wsie pojdiom za toboj" — przez zwrot: „Imię jasne jak śpiew. imię wielkie jak świat!" Sporo dobrych przekładów wyszło spod pióra L Lewina. Ale zwrot „ziemia bierze z nami ślub" w jednej z piosenek jest po prostu nic nie mówiącym frazesem w porównaniu z konkretnym „obnowliajetsia ziemlia", wyrażającym ogrom pracy nad przeobrażeniem przyrody.

Daje się zauważyć w przekładach dużo dowolności. E. Żytomirski w dźwięcznym zresztą tłumaczeniu „Pieśni o Leninie" zmienia — „dyktaturę robotniczą" w „rewolucję ludową" Inny autor, A Przegrodzki, wnosi do tekstu myśl, której w oryginale nie ma, wstawiając hasło: „Zagłada tym, co chcą nas zgnieść". R. Adamczyk tłumaczy „nema szczastia" — w znanej piosence ukraińskiej „U sąsiada biała chata" przez „nie ma matki". W tłumaczeniu pieśni „Młodość" u Kubiaka wypadło zupełnie „znamia Iljicza"

W znanej piosence „Tuczi nad gorodom wstali" — w polskim tekście W. Woroszylskiego wywietrzał swoisty humor i zastąpiła go retoryka; pojawiły się koturnowe wyrażenia jak „w dzieje narodu nas wplótł". „w płomieniu ogromnych wydarzeń".

Niekiedy trafiają się w tekstach rzeczy wręcz niezrozumiałe Wspomniany już A Przegrodzki pisze na przykład. że „deszcz rosy spadł" i prosi żyto żeby grało („Dojrzewaj i graj moje żyto"). R Stiller w tłumaczeniu „Sormowskiej piosenki lirycznej" nie zastanowił się widać nad tym, w jaki kłopot wprawi swego czytelnika już w pierwszych słowach. W ujęciu tłumacza głos dalekiego parowca rozlega się za Wołgą? Gdzie w takim razie jest parowiec? Na lądzie? Nie wiadomo dlaczego R. Stiller skazał wspaniałą i potężną rzekę na to, by „toczyła się w mroku". Chyba tylko dla wątpliwego rymu „szeroką". W oryginale o żadnym mroku nie ma mowy, a jest konkretne umiejscowienie „na strielkie" — tj. na mierzei (rodzaj półwyspu). „Gwóźdź" tłumaczenia kryje się jednak w trzecim wierszu pierwszej zwrotki. Mało tego, że tłumacz samowolnie wyrzucił z tekstu nazwę miasta Gorki, ale wbrew oczywistej prawdzie, wbrew powszechnie znanym faktom, przekształcił je w „mieścinę". Ładne rzeczy — nazwać kilkusettysięczne miasto z potężnymi, słynnymi na cały świat zakładami przemysłowymi — mieściną?

Takie błędy można wytłumaczyć tylkoko pośpiechem w pracy, nieuwagą, brakiem poczucia odpowiedzialności, ja ka leży właśnie na autorach tłumaczeń piosenek radzieckich Przecież ten sam R. Stiller potrafił dać niejeden udany przekład, żeby zacytować chociażby „Samotną harmonię" Mokrousowa

U R Stillera dziewczyna mówi ze swoim miłym „jak gdyby we śnie" Inny znów tłumacz wstawia pasożytniczy zwrot: „i rób co chcesz" To sztampa przeniesiona ze szlagierów

Jeszcze jeden przykład pozwolimy sobie zaczerpnąć z tegoż przekładu R Stillera dla ilustracji. jakiego pogłębienia wymaga praca nad tekstem polskim piosenki R Stiller wstawia w którymś miejscu wyrażenie „do syren skowytu" Wydaje się, że ten zwrot przywędrował z obcego kręgu asocjacji Inna też jest asocjacja w oryginalnym tekście Ponadto spróbujcie zaśpiewać te słowa: „do syrenskowytu" — bo tylko tak wypadną one w śpiewie — czy nie brzmią, jak słowa jakiegoś nieznanego, obcego języka?

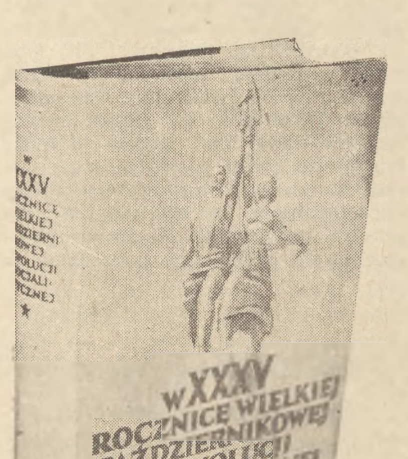
Zatrzymaliśmy się dłużej nad przekładem „Sormowskiej piosenki lirycznej", gdyż błędy te wydają się nam najbardziej dosadne i pouczające.

Poruszony w tej zwięzłej wzmiance temat nie może być wyczerpany tylko powyższymi uwagami. Głos powinni zabrać zarówno fachowcy jak i szerokie rzesze czytelników i wykonawców piosenek Sprawa na to zasługuje; idzie o to by podnieść na wyższy poziom jeden z ważnych odcinków naszej działalności przekładowej.

S. Kerner

Publikacja piękna i cenna

„W XXXV rocznicę Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej (Materiały - Dokumenty)" — to nowe piękne wydawnictwo, opracowane przez Wydział Historii KC PZPR, wydane przez „Książkę i Wiedzę" w bogatej szacie graficznej, ukazało się na półkach księgarskich w rocznicę Wielkiej Rewolucji (Warszawa, 1952, Książka i Wiedza, s. 860).



Księga, którą otwierają teksty przemówień Józefa Stalina oraz Bolesława Bieruta na XIX Zjeździe KPZR, podaje w bardzo jasnym i zwartym układzie, obejmującym 7 rozdziałów — historyczne akty Rewolucji Październikowej, wypowiedzi Lenina i Stalina oraz przywódców międzynarodowego ruchu komunistycznego o znaczeniu Wielkiej Rewolucji, przynosi następnie cały szereg materiałów dowodzących roli, jaką odegrała Rewolucja Październikowa w wyzwoleniu narodów uciśnionych, a przede wszystkim narodu polskiego.

Olbrzymi materiał dokumentacyjny ilustruje braterstwo broni i udział Polaków w Rewolucji Październikowej. Szereg materiałów i dokumentów uświadamia nam w sposób jasny i syntetyczny rozwój budownictwa socjalistycznego w ZSRR i jego wpływ na walkę wyzwoleńczą w Polsce i na całym świecie. Wreszcie garść dokumentów i materiałów z drugiej wojny światowej wyjaśnia nam misję wyzwoleńczą Armii Czerwonej i na koniec wybór aktów historycznych z okresu powojennego obrazuje nam drogę Związku Radzieckiego do komunizmu oraz przyjaźń. pomoc i przykład ZSRR w marszu narodu polskiego do socjalizmu, w walce o pokój i szczęście narodów na całym świecie.

Warto nadmienić jeszcze o przemyślanym i wnikliwym doborze ilustracji, obejmującym nie tylko fotografie poszczególnych dokumentów, wydarzeń itp., ale także reprodukcje malarstwa radzieckiego, obrazujące wypadki związane z Wielką Rewolucją.

Książka spełni na pewno wyrażone w przedmowie nadzieje redaktorów wydawnictwa i przyczyni się do „lepszego zrozumienia przez ludzi pracy naszego kraju olbrzymiego znaczenia Rewolucji Październikowej i wielkich osiągnięć Związku Radzieckiego w okresie minionych 35 lat" oraz „dalszego wzmocnienia nierozerwalnej, braterskiej przyjaźni między narodem polskim a narodami Związku Radzieckiego".

Węgierskie dyskusje literackie

Ostatnie czerwcowe plenum Komitetu Centralnego Węgierskiej Partii Pracy poświęcone było omówieniu pracy partii wśród młodzieży. Referent tego zagadnienia, członek Biura Politycznego i minister Obrony Narodowej Michał Farkas powiedział m. in.:

„Znaczna część naszych pisarzy biernie lub negatywnie ustosunkowuje się do literatury dziecięcej i młodzieżowej, widząc w niej niesłusznie problem niegodny twórczości poważnego pisarza. Przyczyna tej niewłaściwej postawy pisarzy leży w obojętnym stosunku Związku Literatów do literatury dziecięcej i młodzieżowej."

W odpowiedzi na tę krytykę znana węgierska literatka, Marta Gergely, zamieściła na łamach centralnego organu WPP „Szabad Nep" artykuł zatytułowany: „Pisarze — piszcie dla młodzieży". Autorka potwierdza słuszność krytyki ze strony partii podkreślając, iż w istocie część pisarzy węgierskich ma obojętny, a nieraz nawet pełny zarozumialstwa stosunek do literatury młodzieżowej. *„A przecież - pisze Gergely — być obojętnym w stosunku do literatury młodzieżowej znaczy tyle, co być obojętnym w stosunku do młodzieży, do narodu a nawet do literatury w ogóle".*

Nawiązując do swojej rozmowy z Mikołajem Tichonowem Marta Gergely pisze dalej:

„Tichonow zapytał mnie, czy pisarze węgierscy odwiedzają obozy pionierów?... W oczach pisarza radzieckiego dziecko jest młodym obywatelem swej ojczyzny... Młodzież stanowi olbrzymią część społeczeństwa. wiek młodzieńczy jest niezwykle ważnym okresem życia człowieka. Bez poznania i zrozumienia młodzieży nie można dobrze poznać i zrozumieć społeczeństwa „Tajemnicą" rozkwitu literatury radzieckiej jest jej wytrwałe dążenie do poznania naszej rzeczywistości.. Dlatego każdy pisarz, nawet ten który o młodzieży lub dla młodzieży pisać nie zamierza, winien żyć w przyjaźni z młodzieżą".

W myśl słów ministra Farkasa, wypowiedzianych na Plenum KC WPP: „Ustrój demokracji ludowej nie może zrezygnować z literatury młodzieżowej i dziecięcej pisanej w duchu socjalizmu, będącej jedną z najskuteczniejszych metod wychowawczych", Marta Gergely zobowiązuje się w imieniu wszystkich literatów: „Pisarze węgierscy spełnią swe powołanie i pomogą Partii w wychowaniu nowego człowieka."

To, że Plenum Węgierskiej Partii Pracy tyle uwagi poświęciło sprawom literatury dla młodzieży jest rzeczą bardzo charakterystyczną. Ważne jest również skonfrontowanie sytuacji w literaturze dla młodzieży na Węgrzech z analogiczną do niedawna sytuacją w Polsce.

Warto dodać, że wskutek uchwał Plenum KC WPP oraz dyskusji prasowej Związek Literatów Węgierskich postanowił naprawić zapoznanie tematyki młodzieżowej, postanowił otoczyć opieką pisarzy, którzy zajmą się tą tematyką.

J. M.

Najbliższe zebrania sekcji twórczych ZLP w Warszawie

Zarząd warszawskiego oddziału ZLP komunikuje, że zebrania sekcji twórczych ZLP odbędą się:

W dniu 11 listopada br. we wtorek o godz. 16-tej sekcja dramatu Temat: omówienie sztuk historycznych Haliny Auderskiej, Aleksandra Maliszewskiego, Kazimierza Korcellego (referuje Edward Csato)

W dniu 12 listopada br. w środę o godz 17-ej sekcja literatury dla dzieci. Temat: omówienie twórczości Gajdara. (Zagajenie Heleny Bobińskiej).

Wydawnictwa związane z XIX Zjazdem KPZR

O dużej sprawności polskich instytucji wydawniczych świadczy fakt, że praca Józefa Stalina „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR" ukazała się w polskim przekładzie nakładem „Książki i Wiedzy" w sześć dni po wydaniu jej w języku rosyjskim. (Praca Stalina ukazała się w nakładzie 200 000 egzemplarzy

Warto wspomnieć przy tym, że jak dotąd jedynie w Polsce Zbiorowe Wydanie Dzieł Stalina ukazało się (również w wydaniu „Książki i Wiedzy") w tej samej ilości tomów co w ZSRR

Obecnie Książka i Wiedza wydaje już materiały XIX Zjazdu Partii Dotychczas ukazały się następujące pozycje: Józef Stalin — Przemówienie na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego; G M Malenkow — Referat sprawozdawczy Komitetu Centralnego WKP(b) na XIX Zjeździe Partii; Statut Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego poprzedzony referatem N S Chruszczowa, wygłoszonym na XIX Zjeździe Partii, oraz Dyrektywy XIX Zjazdu Partii w sprawie Piątego Pięcioletniego Planu Rozwoju ZSRR na lata 1951—1955 (Tę ostatnią publikację poprzedza referat Przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania ZSRR M. Z Saburowa)

Przygotowywane są również do druku obszerne 2 broszury, zawierające dalsze materiały XIX Zjazdu Partii W jednej zebrane będą wszystkie przemówienia wygłoszone na Zjeździe w drugiej — wszystkie przemówienia powitalne

(w. o.)

wywoła wiele plotek, ale rząd Rzeszy nie powinien się nimi przejmować; wartość naszego sojuszu z Francją jest Niemcom dobrze znana, dla nas ma on znaczenie wyłącznie dwustronne i defensywne. Neurath odpowiedział, że zna świetnie naszą sytuację, i że postara się uniemożliwić niewłaściwe komentarze dziennikarskie.

Tego samego dnia — rozmowa z Papenem.

Papen podkreśla absolutną niezbędność współpracy niemiecko-polskiej. Dorzuca, że porozumienie polsko - niemiecko - francuskie byłoby najwłaściwsze, i że on sam jest zwolennikiem dobrych stosunków między Francją a Niemcami.

„MUSIMY ZAPOMNIEĆ DAWNE SPORY"

12 sierpień 1936 Rozmowa z Ribbentropem.

Ribbentrop wyjaśnia mi, w długim wykładzie, istotę reżimu hitlerowskiego, podkreślając z całej siły nieustępliwą walkę z komunizmem, jako jego główną zasadę. Mówi następnie o wspólnocie interesów Polski i Niemiec, wobec której dawne nieporozumienia winny być zapomniane.

HITLER: „GDAŃSK JEST NICZYM WOBEC NASZEJ PRZYJAŹNI"

12 sierpień 1936. Rozmowa z Hitlerem

Po kilku zdaniach grzecznościowych, wyrażających mój zachwyt dla organizacji Olimpiady, i po przekazaniu Kanclerzowi pozdrowienia od Becka, przeszedłem do spraw aktualnych. w pierwszym rzędzie do wizyty gen. Gamelin w Warszawie, której cel przedstawiłem w podobny sposób co w rozmowie z Neurathem i Goeringiem Hitler, przytakując gestem głowy, wysłuchał wyjaśnień, jakich mu udzieliłem na temat naszego przymierza z Francją.

Przechodząc do sprawy Gdańska, powiedziałem, że nie jest ona prosta. Kanclerz mi przerwał, oświadczając, że pragnie wyjaśnić mi dokładnie swoje stanowisko... Kwestia gdańska jest niczym wobec powagi problemów wymagających harmonijnego współżycia Polski i Niemiec. Wówczas gdy Kanclerz polecił wiernym sobie Gdańszczanom zaniechać sporów z Polską, naraził się na gwałtowne ataki niemieckich nacjonalistów, zarówno w Gdańsku co w Rzeszy. Oskarżono go o zdradę niemczyzny. Jednakże nie zwrócił na to uwagi, i nie cofnął się ani na krok z wybranej przez niego drogi zgody z Polską. Zgodę tę przygotowywał od chwili, gdy stanął u steru Niemiec, i znalazł tu poparcie „meines alten Herrn" (mojego starego pana) marszałka Hindenburga. Marszałek, może dlatego że sam pochodził ze wschodu. całkowicie sprzyjał tej polityce. Hitler kategorycznie zapewnia, że reżim narodowo socjalistyczny rozwinie się w Gdańsku po linii przyjaźni z Polską i uznania wszelkich jej praw. Przywileje polskie w Wolnym Mieście, znane i rozumiane przez Kanclerza, nie mogą doznać najmniejszego uszczerbku. Nie mogą one być pogwałcone pod żadnym pretekstem.

GOERING SZUKA KONTAKTÓW Z FRANCJĄ ZA POŚREDNICTWEM POLSKI

Tego samego dnia. Rozmowa z Goeringiem.

Mówi mi, że wizyta gen. Gamelin w Warszawie budzi w Berlinie niepokój; wszyscy oczekują komunikatu na temat rozmów. Opinia obawia się przede wszystkim, by nie było w komunikacie mowy o *Generalstabsprechungen* (narady sztabu generalnego). Wiadomość ta wywołałaby wrażenie, że Polska opracowuje wspólnie z Francją plan wojskowy przeciw Niemcom.

W odpowiedzi wyłożyłem Goeringowi zasadę naszego sojuszu z Francją i podkreśliłem, że rząd polski podtrzymuje w całej rozciągłości politykę marszałka Piłsudskiego. Goering oświadczył, że cieszy go, że usłyszał z moich ust podobną deklarację. Dorzuciłem, że gen. Gamelin przybył do Polski na własne swoje życzenie. „Das ist sehr beruhigend" (To jest istotnie uspokajające).

W dalszym ciągu rozmowy Goering powiedział, że położenie wewnętrzne Francji napełnia go głębokim pesymizmem. Przypuszcza, że skończy się to bolszewizacją kraju. Goering otrzymał wiadomość o niebezpiecznej agitacji we flocie i armii francuskiej. W wypadku zwycięstwa komunizmu we Francji sojusz polsko - francuski stałby się fikcją.

Dlatego Goering powitałby z satysfakcją ewentualne nasze rozmowy z Francuzami — przedstawicielami środowiska przeciwnego Frontowi Ludowemu. Niemcy pragnęliby Francji nacjonalistycznej i silnej, z tego względu *nasze porozumienie z opozycją francuską byłoby pożyteczne dla wspólnych celów* W pierwszym rzędzie ma on tu na myśli przedstawicieli armii francuskiej.

HITLEROWCY GDAŃSCY TO RENEGACI RUCHU NAZISTOWSKIEGO

21 październik 1936. Rozmowa z Papée'm.

Sztab hitlerowski w Gdańsku nie ukrywa swych uczuć anty-polskich i robi posunięcia gwałtowne. Hitlerowcy oświadczają otwarcie, że Polaków należy usunąć z Wolnego Miasta. Powinniśmy podjąć w Berlinie rozmowę zasadniczą na ten temat. Hitlerowcy gdańscy są na drodze do herezji w ruchu narodowo-socjalistycznym, i należy uświadomić Berlinowi, że znajdują się oni stale w opozycji wobec przyrzeczeń, udzielanych nam przez przedstawicieli III-ej Rzeszy.

TYLKO 3 EWENTUALNOŚCI (WSZYSTKIE — AGRESYWNE)

21 grudzień 1936 Rozmowa z Beckiem.

Beck zwierza mi się ze swoich przewidywań co do rozwoju sytuacji w Europie. Możliwe, że Polska wkrótce będzie zmuszona do zasadniczych decyzji. Pozostają trzy ewentualności: 1) zająć Cieszyn i umożliwić Węgrom obsadzenie Rusi podkarpackiej, co da nam wspólną granicę z nimi. Ze Słowacji zrobilibyśmy coś w rodzaju państwa buforowego pod naszym wpływem i ochroną. Rozwiązanie takie wymagałoby skierowania kilku dywizji nad granicę sowiecką. Inne ewentualności: 2) zająć Kowno, 3) zająć Gdańsk.

WIERZYLI GOERINGOWI „NA SŁOWO"

16 luty 1937 Rozmowa z Goeringiem i marszałkiem Śmigłym - Rydzem, w obecności amb. Moltkego i min Szembeka.

Goering rozpoczyna od wyrażenia radości z poznania marszałka. Oświadcza następnie, że kanclerz Hitler polecił mu podkreślić z całą mocą, że bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany jest podtrzymać swą politykę zbliżenia z Polską.

„Nie chcemy korytarza; stwierdzam to z całą szczerością i kategorycznie: korytarz nie jest nam potrzebny"... Podobnie Niemcy mają zaufanie do Polski i sądzą. że nie ma ona zamiaru odebrać im Prus wschodnich ani reszty Śląska. Jest zresztą oczywiste, że dla Rzeszy Polska silna z dostępem do morza, Polska. z którą można się porozumieć, przedstawia wartość bez porównania istotniejszą, niż Polska słaba i okrojona. Goering podkreśla, że Polska odizolowana mogłaby być łatwo pokonana, i wtedy cała potęga rosyjska runęłaby na Niemcy.

„POWINNIŚCIE MIEĆ DOSTĘP DO MORZA CZARNEGO"

4 listopad 1937. Rozmowa z Goeringiem na obiedzie w ambasadzie Polski w Berlinie

Oświadczyłem Goeringowi, że, mimo wszystko, wypadki na terenie Gdańska poruszyły polską opinię publiczną, zaś ostatnie posunięcie Forstera (umieszczenie swastyki w herbie oficjalnym Gdańska — przyp. nasz) — nie mogło przejść niezauważone.

Goering odpowiedział, że nie rozumie nas: „Dlaczego niepokoicie się Gdańskiem, skoro nasze cele zwracają się w zupełnie przeciwną stronę?" Forster był ostatnio wezwany do Berlina i otrzymał tam wyraźną i kategoryczną instrukcję, by nie naruszać w najmniejszej mierze praw Polski w Gdańsku, uznanych całkowicie przez Niemcy. Niemniej Goering przyznaje, że Forster postępuje zbyt pochopnie. Ale Goering nie może pilnować bez przerwy „tego młodego człowieka".

Podobne zdarzenia nie powinny wpływać na politykę rozpoczętą w 1934 roku. Gdańsk nie może stanowić przeszkody na naszej drodze.

Wreszcie powtórzył Goering zdanie często powracające w rozmowach z nim i politykami niemieckimi, że Niemcy potrzebują Polski silnej. Bałtyk nie jest wystarczający dla naszego kraju, i powinniśmy mieć dostęp do morza Czarnego.

Gdy pytałem Goeringa o stosunki niemiecko - czeskie, odpowiedział krótko: „Cóż pan chce, mamy tam trzy miliony Niemców".

CZESI POWINNI PÓJŚĆ W ŚLADY POLSKI

5 listopad 1937 Rozmowa z Attolico (ambasador Mussoliniego — przyp. nasz).

Ambasador mówi mi. że gdyby Czesi zdawali sobie sprawę z własnego interesu, od dawna powinni pójść w ślady Polski i sprzymierzyć się z Niemcami. Wtedy dopiero nastąpiłoby istotne uspokojenie Europy środkowej.

ANGLIK O CZYSTOŚCI CHARAKTERU HITLERA

13 luty 1937 Rozmowa z Lansbury'm (jeden z członków założycieli Labour Party) *na kolacji w ambasadzie Wielkiej Brytanii*

Lansbury opowiada mi o swoich rozmowach z Hitlerem, wyraża się przy tym o nim z sympatią i nawet ze wzruszeniem (même sur un ton sentimental). *Stwierdza że Hitler ma jak najlepsze intencje i jest absolutnie szczery we wszystkim co mówi* Fakt, że Kanclerz nie korzysta ze swej władzy by zebrać prywatną fortunę, jest najlepszym dowodem czystości jego charakteru. Hitler jest „straszliwy" (terrible) tylko w dwóch sprawach. w stosunku do Żydów i komunizmu,

(c d nastąpi)

Opracował **Zygmunt Kałużyński**

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14. I piętro, tel. 4-01.80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36 23 Adres administracji W wa, ul Wiejska 12. tel 7 52 50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.—. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38 05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-28029